



Catherine Mann



Spełnienie fantazji

Tytuł oryginału: Yuletide Baby Surprise

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy doktor Mariama Mandara chodziła do szkoły, na zajęciach wychowania fizycznego zawsze jako ostatnia była wybierana do drużyny. Nic dziwnego, sport nigdy jej nie interesował. Go innego dyktanda, debaty i konkursy matematyczne. Wtedy wszyscy się o nią bili.

W dorosłym życiu żałowała, że intelekt nie pomaga w sprincie, zwłaszcza gdy próbowała uciec od ciekawskich oczu i aparatów fotograficznych.

Przebywała w luksusowym kurorcie na Santiago, największej z Wysp Zielonego Przylądka. Tak jak wszędzie, tu też dziennikarze i turyści usiłowali zrobić jej zdjęcie. Czy nie rozumieli, że przyjechała tutaj na konferencję, a nie na wczasy?

Zmęczona potknęła się przy palmie obwieszonej świątecznymi lampkami. Na filmach ucieczki były czymś dziecinnie prostym, ale w życiu... Przy najbliższym wyjściu na schody dwie osoby studiowały broszurę turystyczną. Kolejne wyjście zagradzał wózek z detergentami. Mogła iść jedynie na wprost.

Odzyskawszy równowagę, ruszyła energicznym krokiem. Biegając, niepotrzebnie zwracałaby na siebie uwagę. Z głośników płynęła popularna kolęda „Słuchaj, brzmi aniołów pieśń”. Mari westchnęła. Marzyła o tym, by wrócić do laboratorium i spędzić święta tak, jak najbardziej lubiła: w spokoju, na analizie danych.

Ludziom święta kojarzą się z miłością, radością i ciepłem rodzinnym. Jej wprost przeciwnie. Pół biedy, gdyby jej rodzice mieszkali na sąsiednich ulicach czy choćby na tym samym kontynencie, ale oni od dwóch dekad

toczyli transkontynentalną wojnę o swoją jedyną córkę. Dorastając, Mari więcej czasu spędziła na lotniskach i w powietrzu z opiekunką niż przy choince i rozpalonym kominku. Jedne święta przesiedziała w hotelu w Connecticut, bo z powodu śnieżycy odwołano loty.

Teraz, jako dorosła, zamiast świątecznej gorączki wołała ciszę i spokój. Gdyby nie była księżniczką, życie byłoby prostsze, ale wiadomo, rodziców się nie wybiera. Matka Mari nie wytrzymała w blasku fleszy, rozwiodła się ze swoim afrykańskim księciem i wróciła do domu w Atlancie. Mari nie mogła rozwieść się ze swym dziedzictwem. Gdyby tylko ojciec chciał zrozumieć, że córka więcej dobrego może zrobić dla kraju, pracując w laboratorium, niż pozując do zdjęć i przecinając wstęgi!

Nagle spostrzegła kolejne schody. Świetnie! Może wreszcie uda jej się dotrzeć do pokoju na piątym piętrze i porządnie się wyspać przed kolejnymi referatami.

Przytrzymując się poręczy, ruszyła na górę. Szybciej, poganiała się w duchu. Na trzecim piętrze przystanęła i wzięła parę głębokich oddechów. Gdy dotarła na piątę, pchnęła drzwi na korytarz i niemal zderzyła się z nastoletnią dziewczyną i jej matką. Dziewczyna określiła się na pięcie. Mari błyskawicznie zaczęła się oddalać w przeciwnym kierunku.

Wiedziała, że nie może zawrócić, dopóki nie zyska pewności, że korytarz jest pusty. Gdyby tylko miała jakiś kamuflaż! Rozejrzała się dyskretnie. Hm, metalowy stojak z walizkami, dalej donice z ozdobną afrykańską trawą... Po chwili zatrzymała wzrok na wózku z zamówioną przez kogoś kolacją. W pobliżu nie było nikogo z obsługi. Jakaś kobieta, z telefonem przy uchu, oddalała się pośpiesznie. Mari przygryzła wargę. Podjąwszy decyzję, podeszła do wózka i zajrzała pod srebrną pokrywę.

W nozdrza uderzył ją zapach przyprawionej szafranem jagnięciny. Do

ust napłynęła jej ślinka. A na widok tiramisu miała ochotę ukryć się w jakiejś pakamerze. Od dawna nie miała nic w ustach, jeśli nie liczyć kawy. Weź się w garść, kobieto! Im szybciej dotrzesz do pokoju, tym szybciej zamówisz kolację i położysz się spać.

Dobra, z wózkiem może śmiało wędrować korytarzem, udając kogoś z obsługi. Na drążku wisiał firmowy zielony żakiet z nazwą hotelu, a na leżącej obok kartce widniał numer pokoju, 5A, czyli kolacja tam powinna trafić.

Na dźwięk rozsuwających się drzwi windy Mari chwyciła żakiet i włożyła go na swój pomięty czarny kostium. Był kilka rozmiarów za duży. Nie szkodzi. Z kieszeni wypadła czerwona czapka świętego Mikołaja. Wciągnęła ją na głowę. Idealnie. Za sobą usłyszała podniecone dziewczęce głosy mówiące po portugalsku.

- Na pewno wbiegła na piąte piętro?
- Może jednak na czwarte?
- Na piąte. Wyjmijcie komórki. Za zdjęcie można sporo zarobić.

Wasze niedoczekanie, pomyślała Mari, pchając wózek. Kółka skrzypiały, talerze brzęczały. Cholera, jakie to ciężkie! Minęła rzeźbione maski na ścianie, wielką donicę w kształcie słonia... Zbliżała się do apartamentu 5A, a za nią podążały trzy młode konspiratorki.

- Spytajmy tę kobietę z wózkiem. Może widziała...

Dreszcz przebiegł Mari po plecach. Tego brakowało, by sfotografowały ją w przebraniu! Musi natychmiast wejść do 5A. Pośpiesznie wcisnęła dzwonek przy drzwiach.

- Kolacja! – zawołała, wpatrując się w podłogę.

Jedna sekunda, druga. Co tak długo? Zaraz dojdą złaknione wrażeń nastolatki... Zaczęła panikować, że wszystko się wyda, kiedy nagle drzwi się otworzyły. Uff! Napinając mięśnie, wepchnęła wózek do środka i potknęła

się. No cóż, ku rozpaczy książecego rzecznika prasowego nigdy nie poruszała się z wdziękiem baletnicy.

W nozdrza uderzył ją zapach mydła, taki jak lubiła, świeży i rześki. Bała się jednak zerknąć na mężczyznę, który otworzył jej drzwi.

Psiakość! Dlaczego wózek z kolacją dla jednej osoby jest tak ciężki? W pokoju nie było nikogo innego. Zwróciła uwagę na przyciemnione światło, ogromne skórzane kanapy i drewniany stół. Okno wychodziło na plażę skąpaną w świetle księżyca. W oddali migotały gwiazdy. Mari odchrząknęła i ruszyła w stronę okna.

– Postawię kolację na stole.

– Nie, proszę zostawić wszystko na wózku, przy kominku – odrzekł znajomo brzmiący głos.

Zidentyfikowała go w ułamku sekundy, nie musiała sprawdzać. Najwyraźniej los postanowił sobie z niej zadrwić: wpadła pod przysłowiową rynnę. Cholera, w hotelu było tyle pokoi, a ona akurat trafiła do apartamentu, w którym mieszka doktor Rowan Boothe. Jej zawodowy wróg, lekarz, którego odkrycia jawnie wyśmiewała.

Co on tu robi? Przecież czytała program konferencji. Referat Boothe'a przewidziany był na koniec tygodnia.

Usłyszała, jak drzwi się zamykają, a potem zbliżające się kroki. Stała bez ruchu, wpatrując się w męskie buty i nogawki dżinsów.

– W takim razie życzę smacznego.

Zamierzała skierować się do wyjścia, lecz Rowan Boothe zastąpił jej drogę. Utkwiwszy wzrok w jego piersi, modliła się, by jej nie rozpoznał. Ostatni raz widzieli się pięć miesięcy temu na konferencji w Londynie.

Czuła, jak się czerwieni. Pamiętała jego sylwetkę, pamiętała twarz. Opalony, przystojny, w typie Brada Pitta, o jasnych włosach zbyt długich jak

na lekarza, ale jemu ta fryzura uchodziła. Pochłonięty pracą oraz działalnością charytatywną, nie miał czasu na tak przyziemne sprawy jak wizyta u fryzjera.

Wszyscy uważali go za wzór szlachetności, za seksowny wzór szlachetności, ale Mari przeszkadzało, że zbyt często omijał przepisy.

– Proszę pani.

Spokojnie, nakazała sobie. Od tyłu cię nie rozpozna. Z dwojga złego wolałaby, by kilka jej zdjęć trafiło do gazet, niż żeby ten mężczyzna zobaczył ją w czapce Mikołaja.

Kątem oka dostrzegła wysuniętą rękę z banknotami.

– Wesołych świąt.

Jeżeli odmówi przyjęcia napiwku, będzie to wyglądało podejrzanie. Sięgnęła po pieniądze, starając się uniknąć kontaktu fizycznego. Najwyżej przekaże je na jakiś cel dobroczynny.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. – Nie dość, że był przystojny i seksowny, to jeszcze miał niesamowity głos, niski, aksamitny.

Mari ponownie skierowała się ku drzwiom. Jeszcze kilka kroków... Zaciśnęła rękę na mosiężnej kłamce, kiedy nagle rozległo się pytanie:

– Aż tak się pani spieszy, doktor Mandara?

Cholera! Czyli jednak ją rozpoznał. I pewnie był bardzo z siebie zadowolony. Podeszedł bliżej.

– A ja myślałem, że zakradłaś się do mojego pokoju, żeby mnie uwieść.

Doktor Rowan Boothe czekał na jej reakcję; chętnie podrażniłby się z tą piękną księżniczką, która robiła karierę na uniwersytecie. Nie wiedział, co go w niej tak fascynuje, zresztą dawno przestał się nad tym zastanawiać. Po prostu był pod urokiem Mariamy.

Ona zaś miała do niego stosunek pogardliwy i prawdę mówiąc, to go też pociągało.

Irytowało go, że wszyscy widzą w nim świętego, ponieważ odrzucił intratną posadę w Karolinie Północnej i otworzył klinikę w Afryce. Ale nie zależało mu na pieniądzach; miał ich w bród, odkąd stworzył program komputerowy umożliwiający postawienie diagnozy medycznej, który Mari przy każdej okazji krytykowała, twierdząc, że to „medycyna na skróty”. Otwarcie kliniki niespecjalnie nadwerężyło jego finanse, nie rozumiał więc, czym wszyscy tak się podniecają. Prawdziwa filantropia wymaga poświęceń, a on nie był do nich skory; lubił spełniać swoje zachcianki.

A teraz pragnął Mari. Widząc przerażenie na jej twarzy, uświadomił sobie, że żart nie przypadł jej do gustu.

Otworzyła usta, zamknęła je, znów otworzyła i znów zamknęła. Samo patrzenie na nią sprawiało mu przyjemność. Oparłszy się o barenk, powiódł po niej wzrokiem. Często ją obserwował; wiedział, że pod bezkształtnym ubraniem skrywa bardzo kształtne ciało. Nieraz marzył o tym, by rozebrać ją do naga i delectować się każdym skrawkiem jej oliwkowej skóry.

– Chyba upadłeś na głowę! – zawołała.

Chryste, ale była seksowna, kiedy się złościła! I zabawna w tej czapeczce. Uśmiechnął się szeroko.

– Nie waż się ze mnie śmiać. – Tupnęła nogą.

– Podziwiam ten kapelutek.

Mamrocząc coś pod nosem, cisnęła czapkę na podłogę i zdjęła hotelowy żakiet.

– Słowo daję, nie weszłabym tu, gdybym wiedziała, że to twój pokój.

– Ukrywasz się?

Miała na sobie pomiętą czarną spódnicę, czarny żakiet, białą koszulową

bluzkę. Ale strój był bez znaczenia; Rowan pragnął jej od ponad dwóch lat, gdy przemawiając przed salą pełną ludzi, zjechała jego program diagnostyczny. To narzędzie zbyt proste, bezosobowe, twierdziła; usuwa z medycyny element ludzki.

Stary, weź się w garść, nakazał sobie. Bał się, że za moment jego podniecenie stanie się widoczne. Wtem coś mu przyszło do głowy: dlaczego Mari w przebraniu wtargnęła do jego pokoju?

– Uprawiasz szpiegostwo zawodowe?

– O czym, do diabła, mówisz? – spytała zdumiona.

Ponownie zaczął fantazjować: zdejmuje Mari z nóg pantofle, całuje kostki, łydki i kolana, podsuwa wyżej spódnicę, głaszcze jedwabistą skórę po wewnętrznej stronie uda... Odchrząknął i skupił się na twarzy Mari.

– Wolisz udawać niewiniątko? W porządku. Spytałem inaczej: chciałaś zdobyć najnowsze aktualizacje do mojego programu?

– Nie żartuj. Swoją drogą nie sądziłam, że ktoś taki jak ty, człowiek nauki, bawi się w teorie spiskowe.

– Więc dlaczego się tu zakradłaś?

Wzdychając ciężko, skrzyżowała ręce na piersi.

– Powiem ci, ale obiecaj, że nie będziesz się śmiał.

– Słowo skauta.

– Byłeś skautem? Pasuje...

Owszem, był, zanim trafił do szkoły kadetów, ale nie lubił opowiadać o tamtych czasach i grzechach, jakie miał na sumieniu. Grzechach, za które nie zdoła odpokutować, nawet jeśli co roku, do końca życia, będzie zakładał darmowe kliniki na wszystkich kontynentach.

– Miałaś powiedzieć, skąd się tu wzięłaś.

Zerknęła na drzwi, po czym przysiadła na oparciu kanapy.

– Ciągłe krążą wokół mnie ludzie z komórkami. Koniecznie chcą mi zrobić zdjęcie albo nakręcić krótki filmik, który zapewni im pięć minut sławy. Właśnie na taką grupkę natknęłam się po swoim ostatnim referacie.

– Ojciec nie przydzielił ci ochrony?

– Wolę z niej nie korzystać – odparła, unosząc dumnie głowę. Najwyraźniej nie zamierzała tłumaczyć dlaczego. – W każdym razie parę osób rzuciło się za mną w pościg. Dotarłam na piąte piętro i zauważyłam wózek z kolacją. Postanowiłam skorzystać z okazji...

Na myśl, że Mari nie ma ochrony, Rowana ogarnęła złość. Książę powinien był się uprzeć...

– Mogłam uśmiechnąć się do aparatu – ciągnęła – ale... – Sfrustrowana potrząsnęła głową. – Wykonuję poważną pracę i... To nie moja bajka.

Obszedłszy wózek, Rowan zbliżył się do kanapy, na której siedziała.

– Biedna księżniczka.

– Znów się wyśmiewasz? Nie jesteś zbyt miły.

– Inni tak nie uważają.

Dźwignęła się na nogi.

– Przykro mi, nie należę do twojego fanklubu.

– Więc naprawdę nie wiedziałaś, kto tu mieszka? – spytał ponownie, choć znał już odpowiedź.

– Naprawdę. – Serce zabiło jej szybciej. – Na wózku leżała kartka z numerem pokoju, bez nazwiska.

– A gdybyś wiedziała, to co? – Sięgnął po hotelowy żakiet i czapkę Mikołaja. – Wolałabyś stanąć twarzą w twarz z polującą zgrają, niż prosić mnie o pomoc?

Kąciki ust jej zadrgały.

– Tego się nigdy nie dowiemy. Smacznego. – Wyciągnęła rękę po swoje

przebranie.

– Może zjesz ze mną? Starczy dla dwojga. Twój prześladowcy pewnie wciąż tam krążą.

– Czyżbyś chciał mnie potajemnie otruć? – spytała z błyskiem wesołości w oczach. Po chwili przygryzła wargę. Powietrze stało się naelektryzowane. Miał wrażenie, że gdyby leciutko przyciągnął ją do siebie... Zamiast tego, odgarnął jej za ucho kosmyk czarnych włosów.

– Trucie nie figuruje na liście rzeczy, które chciałbym ci zrobić.

Zmieszana zmarszczyła czoło, ale nie cofnęła się, nie uciekła. Przeciwnie, wydawała się zaintrygowana. Aż korciło go, by sprawdzić...

Z zadumy wyrwało go ciche kwilenie. Mari utkwiła wzrok w czymś przy oknie, on również obrócił się w tę stronę. Dźwięk przybierał na sile, przechodząc w coraz głośniejszy płacz. A dochodził... spod wózka z kolacją.

– Co to?

– Nie mam pojęcia. – Mari pokręciła głową.

Rowan w dwóch susach znalazł się przy wózku i uniósł obrus. Jego oczom ukazało się niemowlę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Płacz wypełnił cały apartament. Na widok dziecka w plastikowym nosidełku wsuniętym na dolną półkę wózka Mari wytrzeszczyła oczy. Nic dziwnego, że wózek był taki ciężki. To jej powinno dać do myślenia, ale nie, gdzież tam! Była zbyt skoncentrowana na sobie, na zdjęciu, które ktoś mógłby pstryknąć. A przez cały ten czas pod wózkiem leżało to biedne maleństwo.

Miało na sobie pieluszkę oraz biały kaftanik. Wcześniej było okryte zielonym kocym, ale wierzgające nóżki zsunęły go na koniec nosidełka.

– Rany boskie! To dziecko? – spytała Mari, zbyt oszołomiona, by logicznie myśleć.

– A jak sądzisz?

Rowan umył ręce w zlewie przy barku, po czym kucnął obok wózka i wyjął niemowlę o skórze kawy z mlekiem. Maleństwo przez moment wymachiwało łapkami, a potem z cichym westchnieniem oparło główkę o jego pierś.

– Ale co ono tu robi? – Mari odsunęła się, by Rowan mógł przejść do kanapy.

– Nie wiem. Nie ja przyprowadziłem wózek – odparł, wkładając palec do ust dziecka. Sprawdza, czy nie cierpi na rozszczep podniebienia?

– Ale ja go tam nie wsadziłam!

Chłopiec czy dziewczynka? Biała koszulka nie zdradzała płci. Czarnych włosów nie zdobiła żadna spinka w kształcie kwiatka ani opaska.

Rowan usiadł na kanapie i położywszy niemowlę na kolanach, kontynuował badanie.

– Wszystko z nim... z nią... w porządku?

– Z nią. To dziewczynka – odparł, zapinając pieluszkę. – Zgaduję, że ma około trzech miesięcy.

– Powinniśmy zawiadomić policję. Może osoba, która ją porzuciła, nadal tu przebywa? – Mała szansa, uznała Mari; zbyt długo flirtowała z Rowanem, nim znaleźli dziecko. – Widziałam kobietę, która oddalała się od wózka. Może to ona...?

– Warto sprawdzić. Pewnie będzie jakieś nagranie z monitoringu. Staraj się przypomnieć sobie wszystko, każdy szczegół może być ważny. – Rowan mówił bardziej jak detektyw niż lekarz. – Nikt nie kręcił się przy wózku?

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

– Może to moja wina? Może dzieciak wcale nie był porzucony? Może mama wzięła córkę z sobą do pracy, bo nie miała jej z kim zostawić? Pewnie teraz wariuje z niepokoju...

– Albo ze strachu, że trafi do więzienia.

– Mama albo ojciec. Przecież nic nie wiemy. – Mari sięgnęła po telefon.
– Zadzwońię do recepcji.

– Możesz podać nosidełko?

– Jasne.

Sięgnęła pod wózek. Dzięki Bogu, że maleństwu nic się nie stało. Jak można być tak lekkomyślnym? Zaciskając z gniewu zęby, postawiła nosidełko na kanapie.

Okej, teraz telefon do recepcji. Nie odrywając oczu od Rowana, wykręciła numer.

– Proszę poczekać – rzekła kobieta.

Wzdychając ciężko, Mari oparła się o barek.

– Mam czekać. Widocznie wszyscy dzwonią.

Niebieskie oczy Rowana pociemniały z frustracji.

– Ciekawe, kto wpadł na pomysł zorganizowania konferencji o tej porze roku – mruknął. – To jakieś szaleństwo.

– Przynajmniej w tej sprawie się zgadzamy.

Mari obserwowała Rowana; z dzieckiem na rękach był jeszcze bardziej seksowny niż zwykle. Dla własnego dobra skierowała wzrok na okno, za którym rozciągał się widok na przystrojone świątecznie jachty i promy w porcie.

O tak, wyraźnie czuło się atmosferę świąt. Tam, gdzie mieszkał jej ojciec, Bożego Narodzenia nie obchodzono aż tak hucznie. Co innego na tych wyspach, które były dawną kolonią portugalską.

Odkąd Mari się usamodzielniała, święta przestały mieć dla niej znaczenie, jednak to, że rodzic porzuca dziecko właśnie w tym okresie, wydało jej się czymś szczególnie tragicznym. Poczowała silne pragnienie, by wziąć niemowlę na ręce, ale nie miała z dziećmi doświadczenia. A nuż sprawi mu ból? Nie, małej jest lepiej z Rowanem.

Zaklął pod nosem. Mari obróciła się zdziwiona.

– Co się stało? – spytała, zakrywając mikrofon.

– Nie miałaś racji, mama nie przyniosła małej z sobą do pracy. – Pomachał kartką. – Zobacz, co znalazłem.

Z telefonem przy uchu Mari usiadła obok na kanapie.

– List?

– Tak. Matka dziecka ukryła małą w wózku, który miał trafić do mojego pokoju. – Podał jej list napisany na firmowej papeterii. – Przeczytaj.

„Doktorze Boothe, jest pan znany ze swej szczodrości i działań dobroczynnych. Błagam, niech się pan zaopiekuje Issą. Mój mąż zginął podczas walk plemiennych, a ja nie jestem w stanie zaspokoić podstawowych

potrzeb córki. Proszę jej powiedzieć, że ją kocham i nigdy jej nie zapomnę”.

Mari przeczytała list dwukrotnie. Nie mieściło jej się w głowie, że matka może oddać dziecko, nie mając gwarancji, że nie stanie mu się krzywda.

– Ludzie często zostawiają ci dzieci pod drzwiami?

– Było kilka przypadków, że ktoś podrzucił dzieciaka do kliniki i nie odebrał, ale coś takiego zdarza mi się po raz pierwszy. – Wyciągnął Issę w jej stronę. – Weź ją. Znam parę wpływowych osób. Może dowiedzą się czegoś, zanim zgłosi się recepcja.

Mari odskoczyła gwałtownie.

– Nie mam doświadczenia z maluchami.

– W szkole średniej nie pracowałaś jako babysitterka? – Wolną ręką wyłowił z kieszeni komórkę. – Pewnie księżniczkom nie wypada?

– Nie chodziłam do szkoły średniej, od razu zaczęłam naukę w college u. – Może dlatego nie miała oglądy towarzyskiej i nie znała się na modzie, co jej nie przeszkadzało. Aż do dziś. Poprawiła pomietą spódnice. – Ale ty znakomicie sobie radzisz zarówno z telefonem, jak i z dzieckiem.

Nic dziwnego, że różne pisma przedstawiały Rowana jako jednego z najbardziej pożądanых kawalerów na świecie. Że był przystojny, to nie ulegało wątpliwości, ale dopiero teraz Mari w pełni poczuła jego urok i siłę.

Miała wrażenie, jakby jej ciało nagle ożyło. Nigdy nie przypuszczała, że będzie na nią tak oddziaływał. To musi być sprawa hormonów, uznała. Jej biologiczny zegar tyka, a Rowan trzyma w ramionach dziecko. Na pewno o to chodzi. Równie dobrze na jego miejscu mógł być inny mężczyzna. Przynajmniej miała taką nadzieję, bo jakoś nie umiała pogodzić się z myślą, że aż tak bardzo pociąga ją ktoś, kto całkiem do niej nie pasuje.

W słuchawce melodia dobiegła końca i odezwał się głos telefonistki.

– Słucham, w czym mogę pomóc?

Mari odetchnęła z ulgą.

– Chciałam zgłosić, że ktoś porzucił dziecko za drzwiami apartamentu 5A zajmowanego przez doktora Rowana Boothe’a.

Rowan nie liczył na to, że sytuacja szybko się wyjaśni. Ktoś, kto powierza dziecko człowiekowi, którego zna jedynie ze słyszenia, nie będzie siedział w hotelu, czekając nie wiadomo na co.

Z Issą na rękach krążył po pokoju, delikatnie poklepując ją po plecach. Mała właśnie skończyła jeść, a Mari z marsem na czole studiowała instrukcję na puszcze z mlekiem dla niemowląt. Rowan zamówił świeżą dostawę; nie miał zaufania do rzeczy zostawionych w torbie pod wózkiem.

Ani policja, ani ochrona hotelowa nie otrzymały żadnych zgłoszeń o zaginionym dziecku. Hotelowy monitoring też niczego nie wykazał. Na nagraniu widać było plecy oddalającej się korytarzem kobiety. Policja działała powoli, bądź co bądź życie dziecka nie było zagrożone. Rowanowi zależało, by na razie wiadomość nie dostała się do mediów; postanowił wykorzystać swoje znajomości. Wiedział, że prędzej czy później policja zawiadomi opiekę społeczną. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że nie zdoła zapobiec wszystkim nieszczęściom świata, lecz los malutkiej Issy leżał mu na sercu.

Ucieszył się, kiedy małej się odbiło, podejrzewał jednak, że dziewczynka jeszcze nie jest najedzona.

– Czekamy na drugą porcję.

Mari w skupieniu potrząsnęła buteleczką.

– Chyba dałam właściwe proporcje. Ale może sprawdź.

– Nie żartuj. – Nigdy dotąd nie widział jej tak przejętej. – W laboratorium cały czas mieszasz składniki.

Starła nadgarstkiem krople potu z czoła.

– Ale jeśli się pomyliłam...

– Nie pomyliłaś. – Rowan wyciągnął rękę po butelkę.

Podawała mu ją z lekkim ociąganiem.

– Boże, jaka ona drobniutka...

– Na moje oko wygląda zdrowo i kwitnąco. – Issa była zadbanym dzieckiem. Może matka żałuje, że ją porzuciła? Oby! Nie starczało domów dla sierot. – Nie widać, żeby była źle traktowana.

– Jest taka słodka...

– Na pewno nie chcesz jej potrzymać, kiedy będę dzwonił?

Mari potrzęsnęła głową i wpięła w kok luźny kosmyk.

– Do swoich wpływowych znajomych?

Uśmiechnął się; nie zamierzał opowiadać o swoich kontaktach.

– Naprawdę byłoby mi łatwiej, gdybym nie musiał jej jednocześnie karmić.

– No dobrze. Może najpierw usiądę.

Dziwnie było patrzeć na wylekzioną Mariamę. Zawsze podziwiał jej wiedzę, spokój i niesamowite opanowanie. Teraz sprawiała wrażenie bardziej ludzkiej, przystępnej.

– Podtrzymuj główkę i pilnuj, żeby butelka była lekko przechylona – rzekł, podając jej niemowlę.

Zerknęła podejrzliwie na butelkę z mlekiem, po czym wsunęła małej smoczek do ust.

– Boję się. Człowiek niechcący może wyrządzić krzywdę takiemu maleństwu.

– Nie wyrządzisz. Widzisz, jak przyciska uszko do twojego serca? W brzuchu matki dzieci słyszą jego bicie. Po narodzinach ten dźwięk nadal je

uspokaja.

Napotkała niebieskie oczy Rowana.

– Dzwon, skoro masz wolne ręce – powiedziała.

Słusznie. Nie ma sensu z tym zwlekać. Udał się do drugiego pokoju, a stamtąd wyszedł na balkon. Było idealnie, ani za ciepło, ani za zimno. W grudniu na Wyspach Zielonego Przylądka temperatura oscylowała w granicach dwudziestu pięciu stopni. Gdyby nie dzisiejsze niespodziewane wydarzenia, pewnie siedziałby z drinkiem na balkonie, oddychając morskim powietrzem. Już, nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz miał urlop.

Dziś inne sprawy zaprzętały jego myśli.

Wydobywszy z kieszeni telefon, oparł się o balustradę, tak aby przez okno mieć widok na Mari z dzieckiem. Przynajmniej stąd nie będzie go słyszała. Im mniej osób wiedziało o jego znajomych, tym lepiej.

Kiedy jako nastolatek spowodował po pijanemu wypadek, za karę trafił do szkoły kadetów, takiego wojskowego poprawczaka. Przyjaźnie, jakie tam nawiązał – nazwali się Bractwem Alfa – przetrwały do dziś. Wiele lat później chłopcy odkryli, że dyrektor szkoły miał powiązania z Interpolem. Kilku swoich podopiecznych ściągnął do organizacji, nie na stałe, po prostu czasem im coś zlecał. Dzięki mrocznej przeszłości oraz okazałym kontom bankowym mogli swobodnie poruszać się w różnych, czasem podejrzanych kręgach.

Rowanowi pułkownik Salvatore powierzał zadania na ogół raz na rok. Podobnie jak jego koledzy, z przyjemnością pomagał zaprowadzać ład. Zbyt często widywał walki między bandami w pobliżu kliniki.

W słuchawce rozległ się znajomy głos:

– Słucham, Boothe.

– Potrzebuję pomocy, pułkowniku.

Mężczyzna roześmiał się cicho.

– Znów któryś z twoich pacjentów ma kłopoty? A może...

– Chodzi o dziecko.

Na drugim końcu linii zaskrzypiało krzesło. Rowan wyobraził sobie, jak jego dawny dyrektor prostuje plecy i marszczy z namysłem czoło.

– Masz dziecko?

– Nie. – Był zbyt pochłonięty pracą, aby myśleć o rodzinie. Dziecko rywalizujące o uwagę ojca z problemami trzeciego świata? To nie byłoby fair. Zerknął na Mari, która kurczowo tuliła Isse, jakby bała się, że może ją upuścić. – Ktoś podrzucił mi swoje. Razem z listem, żebym się nią zaopiekował.

– Nią? Czyli to dziewczynka? Zawsze marzyłem o córce – odparł pułkownik. Tęsknota w głosie kontrastowała z jego wyglądem. Dawniej chodził w mundurze. Obecnie, jako pracownik Interpolu, nosił szare garnitury z czerwonym krawatem. – Ale wracając do ciebie...

– Nikt nie zgłosił zaginięcia dziecka ani w dyrekcji hotelu, ani na policji. Taśmy z monitoringu nic nie wykazały. Podobno widziano jakąś kobietę oddalającą się od wózka, pod którym ukryto niemowlę. Policja się guzdrze...

– Dobrze. Czego oczekujesz ode mnie?

– Obaj wiemy, jak działa system opieki społecznej i jak wyglądają sierocińce. – Rowan zaczął obmyślać plan, może szalony, ale... – Chciałbym zostać tymczasowym opiekunem dziecka, dopóki policja nie znajdzie matki albo ludzie z opieki nie wskażą rodziny zastępczej.

Nie był idealnym kandydatem na rodzica, lecz na pewno Issie będzie lepiej z nim niż w sierocińcu. Zwłaszcza gdyby miał pomoc...

Ponownie zajrzał do salonu. Oczami wyobraźni zobaczył siebie z Mari...

Nagle otrzeźwiał. Wszystko pięknie, ale jak ma ją przekonać do tak rewolucyjnego pomysłu? Bała się dzieci, wystraszyła ją sama myśl o wzięciu małej na ręce.

– Wybacz, że zadam oczywiste pytanie, ale jak zamierzasz być tatusiem, a jednocześnie zbawiać świat?

– Rola tatusia byłaby tymczasowa. – Jeszcze nie zwariował; przecież nie podejmuje decyzji na całe życie. Nie ma czasu na bawienie się w dom. Mari również jest pochłonięta pracą. Natomiast tydzień, dwa lub trzy... – Poza tym mam kogoś do pomocy.

– Rozumiem.

– Co pan rozumie, pułkowniku?

– Po rozwodzie z żoną w weekendy opiekowałem się synem. Zawsze miałem problemy z jego ubiorem. Nie wiedziałem, co do czego pasuje, więc żona wkładała do walizki gotowe komplety.

W szklance zabrzączały kostki lodu. Rowan czekał. Nie był pewien, do czego Salvatore zmierza, ale już dawno przekonał się, że facet ma więcej rozumu w małym palcu niż inni w całej głowie. Iluż wykolejonych nastolatków wyprowadził na ludzi!

– Któregoś razu syn zrzucił walizkę i ubranie się pomieszało. Robiłem, co mogłem, ale okazało się, że zie-

lone spodenki, koszula w pomarańczowe paski i buty kowbojskie to nie najlepszy zestaw.

– No, fakt – przyznał Rowan, uśmiechając się na myśl o pułkowniku w mundurze lub w eleganckim garniturze idącym obok pstrokato odzianego syna.

– Zdawałem sobie sprawę, że poszczególne elementy się gryzą, ale nie wiedziałem, jak to naprawić. Dowiedziałem się jednak, że kiedy z tak

ubranym dzieckiem mężczyzna wchodzi do sklepu, kobiety od razu orientują się, że jest on „samotnym ojcem”.

– Używał pan syna, żeby podrywać laski?

– Nieświadomie. Ale były wyraźnie mną zainteresowane. I mam wrażenie, że chcesz zastosować tę samą strategię wobec osoby, na której pomoc liczysz.

– Zadzwońiłbym do pana, nawet gdyby Mari tu nie było – zaczął się bronić Rowan.

– Mówisz o księżniczce? – zdumiał się Salvatore.

Czasem Rowan zapominał o szlachetnym pochodzeniu Mari. Myślał o niej jak o naukowcu, niekiedy jak o przeciwniku. Na ogół jak o pięknej pociągającej kobiecie, o której nie chciał rozmawiać z Salvatore’em.

– Nie zbaczajmy z tematu. To co, pomoże mi pan dowiedzieć się czegoś o rodzicach dziecka?

– Oczywiście – oznajmił pułkownik. – Przyślij mi wszystko, co masz. Zdjęcia, odciski palców, stóp...

– Znam procedury.

– I powodzenia z księżniczką.

Rowan wciągnął w płuca powietrze, po czym wrócił do środka. Nienawidził hoteli i sal konferencyjnych. Tęsknił za swoją kliniką, za otwartą przestrzenią, za ludźmi, których leczył. Za tydzień będzie w domu. Jego czas z Mari dobiegnie końca.

Wszedł do salonu. Mari, skupiona na niemowlęciu, nawet nie podniosła wzroku. Miał wrażenie, jakby przyłapał ją na czymś bardzo intymnym. Była skryta, zawsze trzymała ludzi na dystans, a teraz siedziała na kanapie, tuląc Issę, jakby chroniła ją przed złem. Choć twierdziła, że nie zna się na dzieciach, instynkt podpowiadał jej, co ma robić. W ciągu wielu lat pracy

Rowan nauczył się odróżniać kobiety, które wyczuwają potrzeby dziecka, od tych, które nie radzą sobie z rolą matki.

Dziś miał przed oczami obraz Madonny z dzieciątkiem. Może to atmosfera świąt tak na niego działa? W każdym razie jeśli chciał wprowadzić swój plan w życie, wiedział, że musi myśleć logicznie i przekonać Mari.

– Jak Issa?

Poderwała głowę, po czym wskazała butelkę.

– Skończyliśmy jeść.

– Nie byłem pewien, czy cię jeszcze zastanę. Twoi fani pewnie już poszli. – Nagle przemknęło mu przez myśl, że powinien był wspomnieć pułkownikowi o polujących na Mari fanach z aparatami. – Chcesz wrócić do siebie?

– Ja... – Pogładziła niemowlę po policzku. – Wiesz, czuję się za nią odpowiedzialna. Poza tym policja będzie chciała ze mną porozmawiać. Chyba prościej będzie, jak tu poczekam.

– Szansa, że dziś uda się znaleźć rodziców Issy, jest niewielka. Masz tę świadomość?

– Tak, oczywiście. – Czubkiem palca starła kropelkę mleka z ust dziecka.

– Trudno uwierzyć, że nigdy nie opiekowałaś się dziećmi.

Lekko speszona, wzruszyła ramionami.

– Byłam zajęta nauką.

– A w rodzinie nie mieliście żadnych maluchów? – Usiadłszy obok na kanapie, poczuł zapach perfum. Ciekaw był, jaki kwiat tak pachnie.

– Moi rodzice są jedynakami, a ja jestem jedynym dzieckiem pary jedynaków.

Chyba po raz pierwszy rozmawiali normalnie, nie sprzecząc się, w

dodatku o sobie, a nie o sprawach zawodowych. Nie zamierzał jej uwodzić tu i teraz, kiedy czekali na policję, ale...

Ale pragnął jej. Korciło go, by lekko się przysunąć, położyć rękę na oparciu kanapy... Ciekawe, jak by zareagowała. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

Nagle w ciszę wdarł się ostry dzwonek telefonu. Mari podskoczyła. Issa zaczęła płakać.

Rowan uśmiechnął się w duchu. Magiczna chwila minęła, ale może jednak coś z tego będzie? Musi tylko przekonać Mari, by została z nim, dopóki nie wyjaśni się kwestia ślicznego podrzutka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Mari krążyła z dzieckiem po salonie, podczas gdy Rowan rozmawiał z miejscową policją. Wcześniej, kiedy oglądała małą po wyjęciu z wózka, sądziła, że Issa ma ze trzy miesiące, ale teraz, kiedy trzymała ją na rękach, nie była już taka pewna.

Dziwne. Dziewczynka została porzucona, ale sprawiała wrażenie zadbanego dziecka. Rączki i nóżki miała pulchne, paznokietki obcięte, ubranie skromne, lecz czyste. Pachniała, jakby była świeżo wykąpana. Może ktoś ją porwał, żeby zemścić się na rodzicach? W dzieciństwie słyszała, że są ludzie, którzy mogą chcieć ją skrzywdzić, aby dopiec jej ojcu; ludzie, którzy poprzez nią będą starali się zbliżyć do księcia. Że nie powinna nikomu ufać.

Potrząsnęła głową, usiłując pozbyć się paranoicznych myśli i skupiła się na Issie. Opuszką palca gładziła policzki, śmieszna bródka, którą znaczył rozkoszny dołeczek. Wielkie brązowe oczy wpatrywały się w nią ufnie. To niesamowite, pierwszy raz w życiu widzi tę małą, a ma ochotę pocałować ją w nosek albo czółko.

Rzuciła okiem na Rowana, który wciąż rozmawiał. Jak on to robi, że wygląda tak seksownie? Emanował siłą, spokojem. Był dobrym człowiekiem o wielkim sercu, a czasem tak strasznie ją irytował.

Zakończywszy rozmowę, odwrócił się. Wiedziała, że przyłapał ją na tym, jak mu się przygląda. Uniósł brwi. Przeszył ją dreszcz, nie dała jednak nic po sobie poznać.

– I co? – spytała neutralnym tonem.

– Przyjechali – odparł, podchodząc bliżej. – Zaraz przyjdą i zabiorą małą.

Mari zacisnęła wokół Issy ramiona.

– Zabiorą? Mówili dokąd? Gdzie ją umieszczą? Bo... też mam znajomości. Może mogłabym jakoś pomóc?

Rowan westchnął.

– Oboje wiemy, jak to się skończy. Mała trafi do domu dziecka, a policja, która ma mnóstwo innych spraw na głowie, będzie szukać informacji na temat jej rodziców. Ponure to, ale świata nie zmienimy.

– Hm... – Mari była zawiedziona, sfrustrowana.

Rowan wyjął jej dziecko z rąk.

– Tak się zastanawiam, może coś możemy zrobić...

– To znaczy? – Popatrzyła na niego z błyskiem nadziei w oczach.

– Za kilka minut zjawi się policja, więc będę się streszczał. – Na plecach Issy wykonywał koliste ruchy. – Możemy zaproponować opiekę nad małą.

Na twarzy Mari odmalował się szok. Stała bez ruchu, z wzrokiem wbitym w jego rękę. Widać było, że usiłuje zebrać myśli.

– Co takiego?

– Jesteśmy odpowiedzialnymi ludźmi. Moim zdaniem to najlepsze rozwiązanie, taki świąteczny gest dobrej woli. Gdybyśmy ją zatrzymali...

Zatrzymali? Mari zakreśliło się w głowie, nogi się pod nią ugięły. Osunęła się na kanapę. Chyba źle usłyszała, pozwoliła, aby fascynacja Rowanem odebrała jej rozum.

– Co powiedziałaś?

Usiadł obok. Czują żar bijący od jego ciała.

– Że moglibyśmy zostać jej tymczasowymi opiekunami. Na dwa, trzy tygodnie, dopóki policja nie ustali, czy Issa nie ma jakichś krewnych, którzy by wzięli ją do siebie.

– Postradałeś zmysły? – A może to ona zwariowała, bo jego szalony

pomysł bardzo ją kusił.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Zaskoczona powagą w jego głosie, przycisnęła palce do skroni. Tysiące myśli przelatywały jej przez głowę. Co z pracą? No i dziennikarze... przecież zrobi się z tego medialny cyrk.

– Takich decyzji nie wolno podejmować pochopnie.

– Jako lekarz nie zawsze mam czas na zastanawianie się i długie analizy. Od lat polegam na intuicji, a intuicja podpowiada mi, że to, co proponuję, jest rozsądne.

Zamyśliła się. Może sama nie doszłaby do takich wniosków, ale wiedziała, że Rowan ma rację.

– Czyli wystąpisz o tymczasową opiekę?

– Mamy większą szansę, jeśli razem wystąpimy. Rzecznik prasowy twojego ojca będzie zachwycony, a ty uwolnisz się od różnych świątecznych zobowiązań.

– Gdyby to było takie proste... Dziennikarze lubią wszystko przekręcać, wyolbrzymiać. Zaczną krążyć plotki. O nas. – Potrząsnąwszy głową, poderwała się z kanapy. A jeśli uznają, że to jej dziecko? – Potrzebuję czasu.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Serce Mari gwałtownie przyspieszyło rytm. Usłyszała za sobą kroki Rowana.

– Akurat tego nie mamy. Musisz podjąć decyzję teraz.

Odwróciła się. Stał tuż za nią.

– Ale możesz wystąpić samodzielnie...

– Owszem. I może uzyskam zgodę, a może nie. Razem mamy większą szansę. Pomyśl o Issie. – Popatrzył na niemowlę. – Trafi biedactwo do jakiejś „przechowalni”...

– Próbujesz wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia – zaprotestowała

Mari. Jego strategia odnosiła skutek. Bo czymże są głupie plotki, gdy w grę wchodzi los dziecka?

Często krytykowała Rowana, ale wiedziała o jego klinice i działalności dobroczynnej. Całe życie pomagał innym. Pod zewnętrzną warstwą arogancji kryła się szlachetność, wrażliwość, czułość.

– Czasem trzeba uciekać się do takich metod. To co?

Mimo uśmiechu widziała na jego twarzy wyraz zatroskania. Może nie pochwałała metod, jakie stosował, lecz **kierowała nim chęć niesienia pomocy. Mała Issa zasnęła mu na rękach. To ostatecznie przekonało Mari. Jeden raz postanowiła zaryzykować,**

– Otwórz drzwi. Przekonasz się.

Trzy godziny później policja opuściła apartament hotelowy. Na stole leżał stos papierów. Sprawa została pozytywnie załatwiona: dopóki policjanci nie znajdą krewnych Issy lub kobiety, która ją porzuciła, dziecko będzie pod tymczasową opieką Mari i Rowana.

Gdy drzwi się zamknęły, Mari opadła bez sił na kanapę. Udało się. Wcielając się w rolę księżniczki, zażądała, by „przekazano” dziecko pod jej opiekę – przynajmniej na dwa tygodnie lub dopóki policja nie uzyska konkretnych informacji. Ona, Mariama Mandara, zajmie się małą razem z Rowanem Bootheem, lekarzem, który uratował wiele istnień ludzkich. Policjanci sprawiali wrażenie zadowolonych. Obfotografowali dziecko, wzięli odciski, obiecali przystąpić do poszukiwań, ale sądząc po ich minach, nie wierzyli w sukces.

Może, pomyślała Mari, prywatny detektyw więcej by zdziałał niż policja? Ale dochodziła północ. Dalsze plany muszą poczekać do rana.

Rowan położył rękę na jej ramieniu.

– Możesz mi przynieść z sypialni torbę lekarską? Chciałbym małą dokładniej zbadać.

– Tor... torbę? – Wstała. – Okej, zaraz wracam.

Była zbyt zmęczona, by zastanawiać się nad własną reakcją. Posłusznie skierowała się do sypialni Rowana. Przy rozsuwanych drzwiach prowadzących na balkon, stał fotel na biegunach. Nie była romantyczką, ale wyobraziła sobie, jak siedzą razem pod rozgwieżdżonym niebem...

Na miłość boską, weź się w garść, skarciła się w duchu. Rowan od lat doprowadza ją do białej gorączki, a te? raz nagle ona snuje wizje, jak w księżycową noc całują się na balkonie, a potem przenoszą się do sypialni.

Powiodła wzrokiem po ogromnym łożu z baldachimem osłoniętym cieniutką siateczką. Na stoliku nocnym leżał czytnik, obok laptop. Oczami wyobraźni zobaczyła, jak Rowan czyta w łóżku, pracuje, rozmyśla. Pośpiesznie odwróciła głowę.

Łazienka znajdowała się parę kroków dalej. Mari przeszła po dywanie i pchnęła na oścież drzwi. Z rozkoszą wciągnęła w nozdrza zapach mydła z lekką nutą paczuli. Zamknęła oczy. Na ciele miała gęsią skórę.

Dobiegający z salonu cichy płacz przypomniawszy jej, po co przyszła. Odsuwając od siebie frywolne myśli, z marmurowej półki chwyciła czarną torbę lekarską. Swoją drogą dziwne, że tak bogaty człowiek nosi tak poprzecieraną torbę.

Przyciskając ją do brzucha, wróciła do salonu. Rowan odstawił na bok butelkę i uniósłszy Issę, zaczął ją poklepywać po plecach. Przez moment Mari stała bez ruchu, zastanawiając się, jak ma wyglądać ich opieka. Po raz pierwszy w życiu zrobiła coś kompletnie irracjonalnego. Była przerażona, że Rowan zdołał ją do tego namówić, że ma nad nią wielką władzę.

Psiakość, musi wziąć się w garść. Było późno, padała na nos ze

zmęczenia. Powinna się wyspać. Od jutra wszystko będzie inaczej. Koniec z fantazjowaniem! Koniec z wączaniem mydła i wody po goleniu!

Rowan przeglądał zdjęcia i notatki w laptopie. List od matki dziewczynki zeskanował, oryginał przekazał policji. Pół godziny temu wszystkie kopie przesłał do pułkownika Salvatorego. Teraz, jak wiedział, musi uzbroić się w cierpliwość.

Przynajmniej jedno się udało: będą razem, on i Mari. Mniej więcej przez tydzień. Może dłużej. W każdym razie do czasu, aż policja znajdzie krewnych Issy.

Po części jego decyzja zajęcia się małą wynikała z pobudek egoistycznych, ale postąpił słusznie. Issa będzie miała troskliwszą opiekę niż w domu dziecka, a on skorzysta z okazji, by poznać lepiej Mari. Zadumany otworzył ponownie stronę z zeskanowanym listem.

Nagle usłyszał kroki, a po chwili uderzył go w nozdrza zapach kwiatów. Uświadomił sobie, że Mari stoi za jego plecami i czyta widoczny na ekranie list.

– „Proszę powiedzieć, że ją kocham”? – Prychnęła pogardliwie. – Chryste, zostawia córkę pod drzwiami człowieka, którego zna jedynie z gazet! I śmie mówić, że kocha dziecko?

– Oburzające, prawda? – Rowan odwrócił się.

– Jestem przerażona. Biedne maleństwo. – Skinęła w stronę śpiącej dziewczynki. – Co z nią będzie, jeśli nie zdobędziemy żadnych informacji?

– Zdobędziemy. Ani policja, ani moi przyjaciele nie siedzą z założonymi rękami.

No właśnie, nie siedzą, zatem powinien dobrze wykorzystać ten czas. Kto wie, może Salvatore zadzwoni już jutro? Zerknął na Mari, wyobrażając sobie, jak objęci idą do sypialni, od której dzieliło ich zaledwie kilka kroków.

– Zastanówmy się, jak w trakcie trwania konferencji zorganizujemy opiekę nad Issą.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

– Jest już po północy.

– Wiem, ale trzeba zamówić pieluszki, ubranka, porozmawiać z hotelową babysitterką. – Wyliczał na palcach kolejne zadania, – Ustalić plan...

– Plan? – Mari rozciągnęła usta w uśmiechu.

– Co w tym śmiesznego?

– Nic. Masz rację. – Oczy miała podkrążone. – To mała żywa istota. Nie możemy się zdać na żywioł.

Korciło go, aby zgarnąć Mari w ramiona, przytulić, pozwolić jej zasnąć z głową na jego piersi. Zamiast tego wyciągnął krzesło od stołu i gestem pokazał, by usiadła.

– Poradzimy sobie. Mam doświadczenie, fundusze. To kwestia tygodnia, góra dwóch.

Wyciągnąwszy drugie krzesło, usiadł naprzeciwko.

– Mówisz, jakby to wszystko było proste.

– Jak chcesz zrezygnować...

Potrząsnęła głową.

– Nie, to ja ją znalazłam. Jestem za nią odpowiedzialna.

Czyli nie zamierza stąd wyjść. Dobrze.

– Ale chyba nie będziesz przy niej siedzieć dwadzieścia cztery godziny na dobę?

– Mogę kogoś zatrudnić.

– Piastunkę – zażartował, zaciskając ręce na jej dłoniach.

– Uważasz mnie za rozpieszczoną księżniczkę?

– Ależ skąd. – Pogłodził jej palce.

– Aha. – Przygryzła dolną wargę. – Więc...

– Więc musimy obmyślić plan. Zastanowić się, co powiemy ludziom. Może... że się spotykamy i skoro razem spędzamy święta, postanowiliśmy...

– Co? – przerwała mu zdumiona. – Kto uwierzy, że z zażartych przeciwników nagle staliśmy się kochankami?

– Kochankami? Brzmi to obiecująco.

– Sam powiedziałaś...

– Że się spotykamy. – Ponownie ścisnął jej dłoń. – Ale twój plan bardziej mi się podoba.

– To nie plan. – Oswobodziła rękę. – To szaleństwo.

– Nie, ludzie to kupią. Księżniczka znajduje miłość i, jak przystało na prawdziwą samarytanę, opiekuje się osieroconym dzieckiem. Dziennikarze będą zachwyceni.

Na jej twarzy odmalował się wyraz przerażenia. Widząc to, Rowan przyhamował. Okej, starczy na dziś; nie ma sensu jej straszyć. Wstał.

– No dobra, pora spać.

– Spać? – Mari również wstała.

Widziała ich razem w łóżku. Był tego pewien. Ha, zwyciężył! Teraz musi pilnować się, nie wywierać presji, po prostu czekać na odpowiedni moment, kiedy Mari będzie gotowa pójść krok dalej.

– Tak, Mari. Połóż się, a ja posiedzę z małą. Możemy na zmianę pełnić nocne dyżury.

– Jasne. Nocne dyżury... Na pewno dasz radę? Siedzieć całą noc, a rano uczestniczyć w konferencji?

– Jestem lekarzem. W szpitalu miewam znacznie dłuższe dyżury. Nic

mi nie będzie.

– Okej. A ja poproszę w recepcji o zmianę pokoju na apartament. Tak, żeby było dość miejsca dla małej i opiekunki.

– Mój jest wystarczająco duży. Zmieścimy się.

– Słucham? – Otworzyła szeroko oczy.

– Zmieścimy się tutaj – oznajmił spokojnie, nie spuszczać z niej wzroku. – Chyba lepiej, żebyśmy mieszkali razem, zamiast przenosić dziecko z miejsca na miejsce. Pokojówka już spakowała twoje rzeczy.

Piersi jej falowały.

– Nie tracisz czasu.

– Bywam spontaniczny. Zaraz zjawi się portier. Aha, i zamówiłem rzeczy dla dziecka.

Przez chwilę Mari milczała.

– Razem? Ty i ja? W twoim apartamencie?

Zauważył, że wcale nie zaoponowała. Pogratulował sobie w duchu.

– Tak. Miejsca jest pełno, masz do dyspozycji oddzielny pokój... Chyba że wolisz spać w moim? – Uśmiechnął się. – Bo wiesz, że nie miałbym nic przeciwko temu?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nazajutrz rano Mari włożyła granatową garsonkę. Wciąż nie mogła uwierzyć, że spędziła noc w apartamencie Rowana Boothe'a. Oczywiście nie w jego łóżku. Rowan, tak jak obiecał, opiekował się Issą do rana.

Upięła włosy i zerknęła na odbicie w lustrze. Przeżyła w życiu parę romansów, ale nigdy nie nocowała w apartamencie mężczyzny, z którym nic jej nie łączyło.

Była przekonana, że nie zdoła zmrużyć oka, lecz o dziwo spała dobrze, lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Może dlatego, że czuła się bezpieczna. Szansa, aby ktoś odkrył, gdzie jest, była znikoma. Wszyscy wiedzieli o trwającej od lat wojnie, jaką toczyła z Rowanem.

O tym, że wspólnie wystąpili o opiekę nad porzuconym dzieckiem, jeszcze nikogo nie informowali.

Wkrótce wydadzą stosowne oświadczenie i świat pozna prawdę. Kamery i aparaty pójdą w ruch. Na myśl o dziennikarzach zrobiło się jej niedobrze. A jeśli przyczepią się do niewinnego dziecka? Lub wyczują chemię pomiędzy nią a Rowanem?

Jeszcze jest czas, możesz się wycofać, a gdyby ktoś pytał, powiedzieć, że to tylko plotki. Tak, kusiło ją, by wciągnąć na głowę czapkę Mikołaja, wymknąć się cichcem i ukryć w laboratorium. Po co jej ten stres, te nerwy? Marzyła o ciszy i spokoju. Laboratorium to jej królestwo. Tu, w apartamencie Rowana, miała wrażenie, że nad niczym nie panuje.

Nagle usłyszała dźwięki dochodzące z drugiego pokoju. Pośpiesz się, szepnęła do siebie. Odsunęła się od lustra i schyliwszy się, włożyła granatowe buty na płaskim obcasie. Otworzyła drzwi i... nie była w stanie zrobić kroku.

Oparła się o framugę. Widok Issy w różowych śpioszkach, z główką na ramieniu Rowana, zapierał dech w piersi. Co za śliczny obrazek.

Tyle że ten obrazek to iluzja, kłamstwo.

Dziecko jest porzucone, nie ma nikogo poza nimi. Jeśli ona odejdzie... Nie, to nie wchodzi w grę. Nienawidziła swojej sławy, ale właśnie ta sława może Issę uratować.

Cały świat dowie się o dziewczynce. Fałszywych krewnych nie trzeba się bać. Zanim komuś przekaże się dziecko, można przeprowadzić badanie DNA. Mari podjęła decyzję: uda się na konferencję, wygłosi wykład, potem wróci i w trójkę wybiorą się na spacer.

Patrząc na ilość dziecięcych sprzętów w salonie, można by pomyśleć, że faktycznie są opiekunami dziecka. Rowan, który wyraźnie wiedział, co małemu człowiekowi potrzebne jest do szczęścia, zamówił komplet ubranek, wiklinowe łóżeczko, elektroniczną nianię...

Mari powiodła wkoło wzrokiem. Co jeszcze? Huśtawka, fotelik do samochodu oraz zapas pieluszek i jedzenia, który starczyłby na miesiąc dla trzech niemowląt. Przypuszczalnie zamówił też babysitterkę, bo ubrany był w czarny elegancki garnitur i czerwony krawat. Boże, ależ jest przystojny!

Nie mogła oderwać od niego oczu. Przez całą noc opiekował się małą, a dziś wygląda jak z żurnala.

On również się w nią wpatrywał. Niesamowite było to, jak szybko ją rozgryzł – w ciągu jednego wieczoru odkrył jej słaby punkt. Święta kojarzyły się jej ze stresem, z napięciem, z lotami transkontynentalnymi. Nie chciała, by Issa spędziła swoje pierwsze święta w obcym miejscu, przerażona, czekając, aż opieka społeczna znajdzie dla niej dom. Dla niej oraz tysięcy innych sierot.

– Dzień dobry. – Rowan zmierzył ją wzrokiem, po czym wskazał za siebie. – Jest kawa, bułeczki...

Mari podeszła do granitowego blatu i ze srebrnego dzbanka naląła sobie ciemnego płynu. Z rozkoszą wciągnęła aromatyczny zapach unoszący się znad kubka.

– Jak małej minęła noc?

– Nieźle. – Włożył Issę do bujanego fotelika. – Zamówiłem babysitterkę, możemy z czystym sumieniem wygłosić swoje referaty. A wieczorem wybierzemy się z małą na spacer i na kolację. Jeżeli do jutra policja nie wpadnie na żaden trop, damy oświadczenie do prasy.

Kolacja? Oświadczenie? Serce zabiło jej mocniej, ale było za późno na wahania. Wiadomość i tak przedostanie się do gazet; lepiej mieć nad wszystkim kontrolę.

Jeżeli więc do jutra nie znajdą się krewni Issy, ona, Mari, zadzwoni do rodziców i uprzedzi ich o wszystkim.

Nie chciała, by próbowali się do czegokolwiek mieszać. Najważniejsze było dobro Issy, a nie reklama. Ale może do wieczora coś się wyjaśni. Może już za parę godzin Issa trafi pod opiekę bliskich. Tak by było najlepiej, prawda?

Rowan wprawił fotelik w ruch. Łagodnemu kołysaniu towarzyszyła melodyjka.

– Zaj... – Mari odchrząknęła. – Zajrzę tu w przerwie na lunch i sprawdzę, jak sobie radzi babysitterka.

– Świetny pomysł. Dzięki. – Podniósł do ust kubek z kawą.

Mari wzruszyła ramionami. Wymknąć się z konferencji w trakcie lunchu? To żadne poświęcenie.

– Drobiazg. Znasz kogoś, kto lubi stołówki?

Roześmiał się, Rowan przyjrzał się jej znad kubka.

– Cieszę się, że postanowiłaś mi pomóc.

– Ma pan wielki dar przekonywania, panie Boothe.

W jego policzkach ukazały się dwa dołeczki.

– E tam. – Dał jej lekkiego pstryczka w nos. – Człowiek nie jest bezwolną istotą.

Racja. Mogła odmówić, nie brać w tym udziału. Policja wszystkim by się zajęła. Wzdychając cicho, Mari usiadła przy stole. Za oknem bezkresne morze iskrzyło się w porannych promieniach słońca.

– Podjęłam świadomą decyzję. Dla dobra Issy. Na pewno nie ze względu na ciebie.

– Tak? Sądziłem, że nie bawią cię gierki.

– Gierki? – Unikając jego wzroku, wypła łyk kawy.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– To ci wyjaśnię. – Odstawiwszy kubek, Rowan usiadł koło niej. Ich kolana prawie się stykały. – Od lat usiłujesz zdyskredytować moje badania i trzymać mnie na dystans, mimo to postanowiłaś zostać. Owszem, dla dobra dziecka, ale oboje wiemy, że nie tylko. Że coś więcej się za tym kryje. Między nami iskrzy.

– To iskry niezgody – mruknęła.

– Niezgody? Publicznie krytykujesz moje osiągnięcia.

– No właśnie: to iskry niezgody. Nie potrafisz zaakceptować, że widzę sprawy pod innym kątem. Ignorujesz moje pomysły, które mogłyby znacząco poprawić twoje technologiczne odkrycia.

Rowan przeczesał palcami włosy.

– Dlatego jesteś tak przeciwna moim programom?

– Myślałam, że będziemy rozmawiać o Issie. – Zerknęła na śpiącą dziewczynkę.

– Nie zmieniaj tematu. – Na moment zamilkł. – Skoro mamy spędzić

razem tydzień lub dwa, to wyjaśnij, co ci przeszkadza w mojej pracy.

Teraz? Żartuje czy mówi poważnie? Zmrużyła oczy. Sprawiał wrażenie poważnego. Może należał do tych ludzi, którzy kłócą się przez cały rok, a przed świętami koniecznie chcą zawrzeć pokój. Znała ten problem z autopsji, powinna zatem wiedzieć, że konflikty trzeba od razu rozwiązywać.

– W porządku. Twój program jest zbyt uproszczony. Jest drogą na skróty, plastrem na ranę. Nie bierze pod uwagę wielu czynników. – Czekala na wybuch.

Rowan wziął głęboki oddech.

– Rozumiem. I w pewnym sensie się zgadzam. Też bym chciał, żeby pacjent miał szansę być dokładnie zbadany, ale zajmujemy się tysiącami chorych, a mamy bardzo nieliczny zespół. Program komputerowy pozwala nam szybko dokonać selekcji, oddzielić ciężkie przypadki od lżejszych.

– Nie wszyscy są tacy uczciwi jak ty.

– O czym mówisz? – Rowan zmarszczył czoło.

– Sądzisz, że świat się składa z samych altruistów? Podejrzewam, że niektóre szpitale korzystają z twojego programu, żeby mieć większą „przepustowość” i więcej zarobić.

– Nie mogę odpowiadać za wszystkich. Staram się jak najlepiej wykonywać swoją pracę. Wolałbym mieć więcej lekarzy i pielęgniarek, ale nie mam.

– Czyli przyznajesz, że program nie jest optymalny?

– To jedyny wniosek, jaki wyciągnęłaś? No cóż, jestem praktykiem i realistą, w przeciwieństwie do ciebie. Tym, którzy zajmują się pracą naukową, łatwiej być idealistami.

– Nie zamierzam się z tobą kłócić. – Zacisnęła zęby.

– Szkoda. – Rowan przysunął się bliżej.

– Słucham? – Pogubiła się.

– Jesteś niesamowicie seksowna, kiedy się złościś.

Otworzyła szeroko oczy, potem pokręciła głową.

– To naprawdę działa na kobiety?

– Nie mam pojęcia, żadnej tego nie mówiłem. – Przysunął się jeszcze bardziej. – Przekonajmy się...

Zanim zdołała zareagować, dotknął ustami jej warg. Na całym ciele poczuła leciutkie igielki, parę sekund później przeniknęło ją gorąco.

Pierwszy pocałunek, chwila zapisana w pamięci. Mari zamruczała cicho. Oparła ręce na piersi Rowana. Serce biło mu rytmicznie, jej własne mu wtórowało. Zamknęła oczy. Pocałunek był inny, niż się spodziewała. Sądziła, że Rowan będzie gwałtowny, zaborczy, dziki, on jednak był delikatny. Dłońmi chirurga, które wiedziały, jak nacisnąć, kiedy, w którym miejscu, gładził ją po szyi i ramionach.

Powoli odpływała, wsysał ją wir rozkoszy. Była bezwolna, bezsilna. Pragnęła więcej – więcej pieszczot, więcej pocałunków, więcej Rowana. Byli o krok od zrzucenia ubrań, pozbycia się zahamowań. Ale wiedziała, że nie mogą. Z wielu powodów.

Nagle Rowan się odsunął.

Mari siedziała zawstydzona, usiłując się wziąć w garść. Jednym pocałunkiem Rowan sprawił, że świat zawirował jej przed oczami. Czy jemu też? Czy choć w przybliżeniu czuł to samo? Skierowała na niego wzrok, ale był zwrócony do niej tyłem. Uświadomiła sobie, że idzie w stronę drzwi.

– Rowan?

– Dzwonek... – mruknął. – Chyba babysitterka.

Mari przytknęła palec do piekących ust. Czy do wieczora zdoła odzyskać równowagę? Czy jeden dzień wystarczy, by emocje opadły, a

dreszcz ustał?

Wieczorem, wędrując ulicą prowadzącą do rynku, mijali kolorowe stragany. Rowan cały czas rozglądał się. Chociaż towarzyszyli im ochroniarze, był czujny. Odpowiadał za niemowlę w wózku, a także za kobietę, która szła przy jego boku.

W spódnicy, bluzce, z szalem owiniętym wokół głowy oraz, dla niepoznaki, w ciemnych okularach wyglądała jak gwiazda filmowa. Od czasu do czasu gładziła leżące na straganach ręcznie tkane materiały i barwne koraliki, patrzyła na kosze pełne świeżych owoców i warzyw, wdychała powietrze przesiąknięte zapachem pieczonych indyków. W oddali fale rozbijały się o brzeg, nieopodal lokalny zespół grał kolędy, dzieci tańczyły. Wokół słyhać było różne języki: kreolski używany przez większość tubylców, portugalski, francuski, angielski... oraz dziesiątki innych, których Rowan nie potrafił rozpoznać.

Uśmiechnął się. Wreszcie są z Mari sami... No, może nie sami, bo z Issą, ochroniarzami, tłumem turystów, ale przynajmniej z dala od sal konferencyjnych.

Mari słowem nie skomentowała wcześniejszego pocałunku; na wszelki wypadek on też nic nie mówił na ten temat. Ważne było to, że nie wystraszyła się i nie uciekła. Oczywiście jemu ucieczka nawet przez myśl nie przeszła. Pragnął poznać Mari lepiej, odkryć więcej niż tylko smak jej ust.

Wiedział, że pośpiech jest niewskazany. Mari jest inteligentna, lecz pełna lęku. Zawsze szczyił się tym, że potrafi odczytywać subtelne znaki i emocje, które pacjenci często próbują ukryć. Kiedy jednak chodzi o

Mari... no cóż, chyba nie spotkał nikogo o tak skomplikowanej naturze. Może właśnie to go tak bardzo pociągało? Jej tajemniczość?

Nie chciał tego teraz analizować; miał zamiar przyjemnie spędzić

wieczór i może zdobyć jakieś informacje o rodzinie Issy. Kiedy szli przed siebie, czasem ktoś obrzucił ich zaciekawionym spojrzeniem, czasem ktoś pstryknął z ukrycia zdjęcie, ale nikt ich nie nagabywał.

Rowan ponownie rozejrzał się, sprawdzając, gdzie są ochroniarze. Byli blisko, w razie potrzeby szybko mogli zainterweniować. Pułkownik Salvatore przydzielił swoich najlepszych ludzi, niestety żadnych wiadomości na temat dziecka nie uzyskał. Odciski stopek Issy nigdzie nie figurowały, ale dziewczynka mogła przyjść na świat w domu. Salvatore twierdził, że nie wykorzystał jeszcze wszystkich możliwości.

Należy zatem wydać oświadczenie dla prasy i mieć nadzieję, że ktoś z rodziny rozpozna niemowlę i się po nie zgłosi. Oświadczenie wydadzą jutro, a na razie... Na razie cieszył się, że Mari zgodziła się mu pomóc. Byli w kraju, który uwielbiał, na ulicach panował nastrój świąteczny, kto wie, co jeszcze się wydarzy.

Mari przystanęła obok straganu z naczyniami, na których widniały namalowane sceny z codziennego życia. Pogładziła jedną miskę, drugą, potem przeszła do straganu z biżuterią. Tu stała dłużej, z zachwytem oglądając wisiorki, koraliki, bransoletki. Dziwne, pomyślał Rowan. Nigdy by nie przypuszczał, że interesują ją błyskotki. Wreszcie cofnęła się o krok.

– Chodźmy coś zjeść – powiedziała.

– Prowadź. Dziś zdaję się na ciebie – rzekł, ciekaw, jaki lokal wybierze.

Co rusz mijali ich zaaferowani przechodnie z torbami pełnymi zakupów. Mari instynktownie ustawiła się tak, by nikt nie potracił wózka z Issą.

– Może wstąpimy do jednej z tych knajpek z ogródkiem? Jedząc, moglibyśmy podziwiać występy.

– Świetnie. – Odpowiadało mu to. Pracując dla Interpolu, przekonał się,

że lepiej mieć oczy dookoła głowy.

Ponownie powiódł wzrokiem po ulicy. Nieopodal śpiewali kolędnicy, dalej grupka muzyków przygrywała na bębnach i fujarkach, jeszcze dalej dzieci w kostiumach odgrywały jasełka. Słońce jeszcze nie zaszło, panował nastrój bez troski, żadne zło się nigdzie nie czaiło.

Wskazał głową lokal z niebieskimi stolikami, w którym serwowano świeżą rybę.

– Może tam?

– Znakomicie. Będę mogła uśmiechać się do zdjęć.

– Chyba członkowie twojego fanklubu zrobili sobie przerwę.

Kelnerka powiedziała, by zajęli dowolny stół. Issa wciąż smacznie spała. W czerwonych śpioszkiach i z kciukiem w buzi wyglądała rozkosznie.

– To prawda – przyznała ze śmiechem Mari, zsuwając z głowy szal. – W hotelu co rusz błyskał flesz, a teraz, kiedy odrobina rozgłosu by się przydała, nikt się nami nie interesuje.

– Policja ma zdjęcie Issy. Jeśli do rana nic się nie wyjaśni, nagłośnimy sprawę. A na razie ja i dziecko stanowimy dla ciebie idealny kamuflaż.

Gdy schylił się, by podsunąć Mari krzesło, znowu poczuł zapach kwiatów. Ujrzał przed oczami serię obrazów przedstawiających Mari ubraną jedynie w perfumy oraz kolorowe bransoletki i naszyjniki. Niedobrze! Teraz całą noc będzie wiercił się w łóżku, myśląc o szczupłym ciele, które Mari ukrywała pod luźnymi garsonkami. Westchnął głośno.

Przyjrzała mu się uważnie znad okularów. W jej złocistych oczach odbijały się promienie zachodzącego słońca.

– Coś nie tak?

– Nie, wszystko w porządku. – Usiadł naprzeciwko i chociaż wiedział, że w pobliżu znajduje się pół tuzina doskonale wyszkolonych ochroniarzy,

zaciśnął rękę na uchwycie wózka. Mari, kiedy jest sama, może robić, co chce, ale on wolał mieć pewność, że ani jej, ani Issie nie stanie się nic złego.

Kelnerka przyniosła dwie szklanki oraz dzban soku z mango i guajawy.

– Jakie słodkie maleństwo – rzekła, wpatrując się w Issę. – Cudnie wygląda w tych czerwonych śpioszkach. Jak taki malutki skrzacik.

– Dziękujemy – powiedziała Mari.

Oboje zamówili miecznika z *cachupa*, miejscowym gulaszem złożonym z kukurydzy i fasoli. Mari odchyliła się na krześle i podsunęła okulary na czubek głowy. Rowan nie spuszczał z niej wzroku. W niczym nie przypominała zestresowanej kobiety, która wczoraj wieczorem skryła się w jego apartamencie.

– Może masz ochotę na szklankę grogu? – spytał. Napój ten, wytwarzany z trzciny cukrowej i miodu, cieszył się na wyspach ogromną popularnością.

– Nie, dziękuję, dla mnie ani kropli alkoholu. Dzisiejszej nocy mam dyżur przy małej.

– Mogę cię zastąpić.

Uniosła zdziwiona brwi.

– Nie żartuj. Nie tak się umawialiśmy.

– Po prostu chcę ci iść na rękę. Masz więcej wykładów i prezentacji niż ja.

Wsypała łyżeczkę cukru do kawy i zamieszała.

– Dobra, dobra. Jeśli myślisz, że znów dam się pocałować...

– Jeśli mnie pamięć nie myli, poprzednim razem nie protestowałaś.

Odłożyła z brzękiem łyżkę na spodek.

– To prawda, ale nie licz nie powtórkę.

– Okej, na nic nie będę liczył – odrzekł niezrażony.

Zauważył, że policzki Mari przybierają ciemniejszy kolor, a żyła na jej szyi mocniej pulsuje. I nagle kątem oka dostrzegł z boku jakiś ruch. Odwróciwszy się, zobaczył parę w starszym wieku wyglądającą na turystów, która kierowała się w ich stronę.

Mari wyprostowała się i zdjęła z głowy okulary. Jakby wyczuwając niebezpieczeństwo, ochroniarze podeszli bliżej. Rowan zmrużył oczy, na wszelki wypadek wsunął rękę pod klapę marynarki.

Mężczyzna, z aparatem i torbą na ramieniu, przystanął obok Mari.

– Przepraszam, czy moglibyśmy zadać wam pytanie? – Mówił z silnym amerykańskim akcentem.

Czyżby zostali rozpoznani? No cóż, kilka godzin wcześniej, kilka później, to nie ma większego znaczenia, pomyślał Rowan. To znaczy, nie ma dla niego i dla Issy, ale nie był pewien reakcji Mari.

Ona jednak przechyliła lekko głowę.

– Oczywiście – rzekła, odkładając okulary. – O co chodzi?

– Czy państwo tu mieszkają? – zapytała kobieta.

Rowanowi zadrgały kąciuki ust. Jednak nie zostali rozpoznani.

– Tu, w kurorcie? Nie, na stałym lądzie – odparł.

– Aha. – Kobieta ściągnęła z namysłem brwi. – Może jednak będziecie w stanie nam pomóc. Gdzie się odbywają uroczystości Kwanzaa?

Mari wytrzeszczyła oczy, po czym uśmiechnęła się do kobiety.

– Wie pani, to raczej afroamerykańskie święto.

– Tak? Nie wiedziałam. Bo... po prostu nie spodziewaliśmy się, że Boże Narodzenie jest tu tak hucznie obchodzone.

Mari zerknęła na dzieci, które skończyły wykonywać pastorałkę i zbierały datki na kościół.

– Afryka ma niezwykle bogate dziedzictwo kulturowe i religijne. W

różnych częściach kontynentu przeważają różne tradycje i rytuały. Wyspy Zielonego Przylądka zostały odkryte i zasiedlone przez Portugalczyków, dlatego Boże Narodzenie jest tu, jak państwo sami zauważyli, hucznie obchodzone.

– Rozumiem. – Nie odrywając oczu od Mari, kobieta wyjęła z plecaka przewodnik i podała go mężowi. – Pani twarz wydaje mi się znajoma. Czy mogłam widzieć gdzieś pani zdjęcie?

Mari potrząsnęła głową.

– Niektórzy biorą mnie za księżniczkę Mariamę Mandarę. A ja czasem nie wyprowadzam ich z błędu. – Uśmiechnęła się szelmowsko.

Kobieta wybuchnęła wesołym śmiechem.

– Ładnie to tak ludzi nabierać? Z drugiej strony wyobrażam sobie, że biedna księżniczka nie ma chwili spokoju, wszyscy polują na nią z aparatem.

– A może chcą państwo moje zdjęcie z dzieckiem? – Mari pochyliła się nad wózkiem i uniosła kocyk, odsłaniając twarz Issy. – Postaram się przybrać swój najlepszy uśmiech.

– Chętnie, ale nie smartfonem. Dzieci kupiły go nam na pięćdziesiątą rocznicę ślubu, a my nawet nie umiemy się nim posługiwać. – Kobieta trąciła męża łokciem. – Wolimy używać polaroida, prawda, Nils?

– Już go wyciągam, Meg. Jeszcze chwilka.

Mari wysunęła krzesło.

– A może wspólne zdjęcie?

– Och, to byłoby wspaniale. Dzieci będą zachwycone. – Przysiadłszy na brzeżku krzesła, kobieta przecesała palcami siwą fryzurę i uśmiechnęła się. Polaroid wypluwał jedno zdjęcie po drugim. – I jeszcze jedno, dobrze? Pani z mężem i córeczką.

Rowan zjeżył się. Lubił dzieci, Mari mu się podobała, ale udawanie

małżeństwa? To nie najlepszy pomysł. No, trudno. Robiąc dobrą minę do złej gry, kucnął obok Mari i zmusił się do uśmiechu. Był znakomitym aktorem. Miał mnóstwo doświadczenia.

Starsi państwo zakończyli sesję, serdecznie podziękowali swoim modelom i na pamiątkę zostawili im jedno zdjęcie. Mętne blade kształty powoli nabierały ostrości.

Rowan zajął z powrotem miejsce przy stoliku. Kelnerka przyniosła zamówione dania.

– Dlaczego nie powiedziałaś im prawdy? – spytał, kiedy znów zostali sami. – O sobie, o nas?

– Bo za dużo ludzi kręci się dokoła. Wszyscy by się rzucili do robienia zdjęć, a tak, kiedy jutro wiadomość trafi do gazet, nasi państwo uświadomią sobie, że kobieta na ich zdjęciu jest prawdziwą księżniczką. Będą mieli co opowiadać wnukom.

– Ładnie się zachowałaś. – Rozłożył serwetkę na kolanach. – Wiem, jak bardzo przeszkadza ci sława.

Przez chwilę Mari milczała.

– Nie jestem jakąś paskudą – szepnęła w końcu.

Przestraszył się. Czyżby ją uraził?

– Wcale tak nie uważam. Jesteś mądra, dobra, prowadzisz znakomite badania.

– Czyżby? Pamiętam wywiad dla jakiegoś pisma, kiedy oskarżyłeś mnie o próbę sabotażu. Zresztą wczoraj, jak wpadłam z wózkiem do twojego apartamentu, oskarżyłeś mnie o szpiegostwo.

– Przyznaję, trochę mnie poniosło. – Podobała mu się zagniewana, z ogniem w oczach. – Niestety w pracy nie mam czasu na wahania, na zastanawianie się...

– A ja lubię mieć wszystko pod kontrolą.

Zamilkła, odpłynęła gdzieś daleko, a on tak wiele chciał się jeszcze o niej dowiedzieć. Uświadomił sobie, że jeśli pragnie poznać jej tajemnice, przemyślenia, przeszłość, nie może wyłącznie zadawać pytań. Sam również musi się zdobyć na szczerość. To go przerażało.

Siedziała wpatrzona w grupę muzyków, z wdziękiem kołysząc się w rytm melodii. Obserwując ją, wiedział, że musi ją mieć. Za wszelką cenę.

TTLRR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zamknęła oczy, rozkoszując się wieczorem. Uliczni grajkowie, powietrze wypełnione muzyką, ręce z brzęczącymi bransoletkami wybijające na bębnach rytm... to wszystko przywodziło Mari na myśl dawne lata, szczęśliwe dzieciństwo, kiedy rodzice wciąż byli małżeństwem, a ona mieszkała w Afryce. Do Stanów latała jedynie z wizytą do dziadków ze strony mamy.

Pierwsze siedem lat życia to była idylla, a przynajmniej tak jej się wydawało. Nie wiedziała oczywiście o narastających kłopotach małżeńskich rodziców. Nie wyczuwała napięcia w ich głosach, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo matka tęskni za Stanami.

Jak na małego geniusza, była głucha i ślepa: przegapiła wszystkie oznaki kryzysu. Znacznie mniej problemów miała z odczytywaniem informacji z bazy danych niż emocji z twarzy ludzi. Nie zwróciła uwagi na to, że matka coraz częściej lata do Atlanty. Pierwszych podejrzeń nabrała, kiedy podczas pobytu w Stanach matka oznajmiła, że zamierza kupić dom. Odtąd nie będą mieszkać u dziadków, będą miały własny kąt. Wkrótce potem rodzice oficjalnie się rozstali; między świętami a nowym rokiem wystąpili do sądu o rozwód.

Od tej pory kolędy brzmiały jakoś inaczej.

Mari przestała się kołysać. Grajkowie wciąż uderzali w bębny, powietrze przesiąknięte było płynącym z kuchni aromatem smażonego mięsa, nieopodal rozlegał się śmiech dzieci. Wszystko to sprawiało, że niemal zapomniała o świdrującym wzroku Rowana.

Niemal. Zerknęła na niego zakłopotana.

– Dlaczego mi się tak przyglądasz? Pewnie jestem strasznie potargana...
– Podniósłszy rękę do włosów, odgarnęła kosmyk, następnie wygładziła pogniecioną bluzkę i poprawiła szal na ramionach. – To był długi dzień, a wiatr od samego rana dość mocno wieje.

Ugryzła się w język. Nigdy nie przejmowała się strojem ani fryzurą, jedynie do oficjalnych zdjęć starała się wyglądać poprawnie, więc dlaczego teraz...? Położyła ręce na kolanach; przecież te jej nieudolne zabiegi i tak nic nie pomogą.

– Podoba mi się, jak wszystkimi zmysłami chłonisz każdy najdrobniejszy szczegół otoczenia – zauważył Rowan z uśmiechem. – Bije od ciebie radość.

Jego niebieskie oczy lśniły niczym gwiazdy na nocnym niebie. Czyżby z nią flirtował? Popatrzyła na niego podejrzliwie. Przez szybę restauracji za jego plecami widziała poruszające się wewnątrz postaci; sztuczny śnieg rozmazywał ich kontury. Zawsze ją fascynowały śnieżne dekoracje na gorących tropikalnych wyspach.

– Nic dziwnego, zbliżają się święta. Uwielbiam ich atmosferę. – Nerwowo zastanawiała się, co jeszcze powiedzieć. Nie chciała mówić o sobie. – Jakie masz wspomnienia ze świąt? Spędzaliście je rodzinnie?

Oparł się wygodnie. Choć wiele działo się dookoła, nie obserwował ulicy, siedział ze wzrokiem utkwionym w Mari.

– Rodzinnie i tradycyjnie, czyli ubieraliśmy choinkę, śpiewaliśmy kolędy, zasiadaliśmy do stołu.

– Do jakich potraw?

Issa poruszyła się w wózeku. Rowan włożył jej do buzi smoczek. Po chwili dziewczynka znów usnęła.

– Normalnych.

Przyglądając mu się, Mari nie mogła wyjść z podziwu – i zazdrości; w przeciwieństwie do niego stale odczuwała strach, że może niechcący uszkodzić dziecko.

– Opowiedz. Ludzie w różnych częściach świata różnie obchodzą święta. „Normalne” potrawy w Stanach na pewno są inne od „normalnych” w Europie czy Afryce. Poza tym w mojej rodzinie mieliśmy kucharzy. Gotowanie to dla mnie czarna magia.

Nabrał na widelec kawałek miecznika.

– Bez przesady. Trzeba cierpliwie wykonywać kolejne kroki. Jak w doświadczeniu chemicznym.

– Akurat! – Podniosła do ust szklankę soku. Oprócz mango i guajawy wyczuła leciutki smak kokosa. Odkąd Rowan ją pocałował, wszystkie zmysły miała wyostrzone. – W każdym razie na pewno jestem lepszym naukowcem niż kucharką. Ale wracając do ciebie... Miałeś ulubiony świąteczny przysmak?

– Hm, mama zawsze piekła maślane ciastka. Lubiliśmy je, to znaczy ja i mój brat Dylan, ale bardziej od ciastek lubiliśmy kolorową posypkę. Więcej posypki lądowało w naszych brzuchach niż na ciastkach mamy.

Mari uśmiechnęła się, wyobrażając sobie dwóch małych urwisów.

– Cudownie. Boże, jak ja bym chciała mieć siostrę! No mów, mów. Co robiliście, o czym marzyliście? Woleliście dostać pociąg czy śmieciarkę? Rower czy... Sama nie wiem.

– Wiesz, moi rodzice nie zarabiali dużo, więc zamiast zadłużać się przed świętami, przez cały rok kupowali prezenty na wyprzedazach. Chętniej hojniej by nas obdarowywali, ale... Grunt, że byliśmy szczęśliwi, a tego większość dzieciaków, z którymi mam do czynienia, nie może o sobie powiedzieć.

– Kochająca rodzina to bezcenny dar.

Przez moment widziała w jego oczach coś, czego nie umiała określić. Mrok. Jakby szare chmury zasłoniły błękitne niebo. Ale po chwili chmury odpłynęły i nie była pewna, czy nie miała dziwnych omamów. Ponownie skupiła się na słowach Rowana.

– W dzień Bożego Narodzenia, około czwartej rano, Dylan i ja wyskakiwaliśmy z łóżek i skradaliśmy się na dół, żeby sprawdzić, co Mikołaj przyniósł.

– Szare chmury co prawda znikły z jego spojrzenia, ale w głosie pojawiła się teraz melancholia. – Przez godzinę bawiliśmy się, potem wszystko chowaliśmy z powrotem do pudeł, wracaliśmy do swojego pokoju i czekaliśmy, aż rodzice przyjdą nas obudzić. Odpakowując później prezenty, oczywiście robiliśmy odpowiednio zdziwione miny.

O co chodzi? – zastanawiała się Mari. Skąd przy tak miłych wspomnieniach tak ponury ton?

– Wygląda na to, że macie wyjątkowe relacje, ty i brat.

– Mieliliśmy – oznajmił beznamiętnie. – Dylan nie żyje.

Wciągnęła z sykiem powietrze, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia.

– Boże, Rowan! Tak mi przykro. Nie wiedziałam...

– Skąd mogłaś wiedzieć? W wieku dwudziestu lat zginął w wypadku samochodowym.

Przez chwilę milczała.

– A ty ile miałaś wtedy lat? – spytała w końcu.

– Osiemnaście. – Zaczął się bawić jej okularami.

– To musiało być straszne. I dla ciebie, i dla rodziców.

– Owszem.

Znów zapadła niezręczna cisza. Czar świąt przysł. Mari przygryzła

wargę, po czym zadała pierwsze pytanie, jakie jej przyszło do głowy.

– Wciąż mieszkałeś w tej szkole wojskowej?

– Tak. To było tydzień przed maturą.

Serce zakłuło ją z bólu. Biedny Rowan. Zamiast świętować z kolegami koniec szkoły i koniec kary, był w żałobie po śmierci brata. Niewiele się namyślając, zabrała mu okulary i przykryła ręką jego dłoń.

– Aż nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić. – Przejechał delikatnie palcem po jej nadgarstku. – Po prostu chciałem podzielić się z tobą ważnym wspomnieniem.

– A chciałeś po to, żeby...?

Teraz już nic nie zasłaniało jego oczu. Widziała w nich jawne pożądanie.

– Żeby zbliżyć się do ciebie. Żeby ci pokazać, że tamten pocałunek to nie był wypadek przy pracy. Nie jestem takim aniołem, jakim mnie maluje prasa.

Przebiegł jej po plecach dreszcz. Nie, nie miała żadnych złudzeń ani przywidzeń. Rowan autentycznie jej pragnie. Ona jego również. Uświadomiwszy to sobie, poczuła się tak, jakby ziemia się zatrzęsła.

Rowan podskoczył, słysząc głośny wystrzał z rury wydechowej. Mari wciągnęła z sykiem powietrze, po czym rzuciła się na jedzenie, jakby była nie wiadomo jak głodna. Każdy kęs popijała łykiem kawy.

Udając, że nie zwraca uwagi na warkot silnika zakłócający ciszę, Rowan rozejrzał się po rynku. Nieopodal dostrzegł ochroniarzy. Jakaś para zakochanych usiadła przy sąsiednim stoliku. Małżeństwo, któremu Mari pozowała do zdjęcia, płaciło za kolację. Rodzina z dziećmi zajęła miejsce przy długim stole.

W porządku, nic złego się nie dzieje.

Zdawał sobie sprawę, że nie może zamknąć Mari na cztery spusty. Po to wynajął ochronę: żeby dbała o jej komfort i bezpieczeństwo.

Był wdzięczny Issie, że ich do siebie zbliżyła. Dotąd znał Mari wyłącznie od strony zawodowej. Nie wiedział, że mimo pochodzenia i niezwyklej inteligencji jest osobą wrażliwą, o wielkim sercu.

Pochyliwszy się nad wózkiem, poprawił małej ślimak. Dziewczynka smacznie spała. Wcześniej dokładnie ją zbadał; na szczęście nic jej nie dolegało, ale to było tylko dziecko. Zamierzał zatroszczyć się o jej przyszłość. Wierzył, że z pomocą Salvatorego znajdzie albo krewnych Issy, albo rodzinę, która chętnie ją zaadoptuje.

Natomiast co do siebie i Mari... nie potrafił odgadnąć przyszłości, przewidzieć, co ich czeka. Niewątpliwie ciągnęło ich do siebie. Z jej złocistych oczu wycierało pożądanie. Pożądanie, ale i niepewność.

Postanowił nie wywierać presji, a nawet wykonać taktyczny odwrót i czekać na właściwy moment, aby ponownie przystąpić do działania. Nie chciał mówić jej o śmierci brata, po prostu naszły go wspomnienia. Musi się pilnować, aby to się więcej nie powtórzyło.

Z glinianego dzbanka nalał im kawy.

– A twoje święta? – zapytał. – Podejrzewam, że niczego ci w domu ojca nie brakowało. Mnóstwo prezentów, wielka choinka...

Mari spuściła oczy.

– Mój ojciec nie prowadził wystawnego życia. Gospodarka kraju powoli się stabilizuje dzięki zwiększonemu eksportowi kakao, ale kraj nie należy do bogatych. Od dziecka wpajano mi, że mam obowiązki wobec ludu...

– I nikogo, z kim mogłabyś je dzielić.

Ugryzł się w język. Nie rozumiał, dlaczego to powiedział. Może

dlatego, że chwilę wcześniej mówił o swoim bracie. Wciąż nie umiał poradzić sobie z tym, że nie zdołał go uratować. Gdyby postąpił inaczej, gdyby podjął inną decyzję.

Wrócił myślami do terażniejszości, do Mari.

– Moi rodzice zawarli nowe związki małżeńskie, potem każde się znów rozwiodło, ale więcej dzieci nie mieli. – Przez moment bawiła się okularami.

– Jestem jedynaczką, jedyną dziedziczką, przyszłością mojego kraju.

– Nie mówisz tego z entuzjazmem.

– Bo wydaje mi się, że musi być jakaś inna osoba, ktoś bardziej kompetentny ode mnie. – Odłożyła okulary i ponownie sięgnęła po kubek. – Co się tak dziwisz? Wolałabym zamknąć się w laboratorium i prowadzić badania, niż decydować o losach kraju.

– Moim zdaniem, gdybyś musiała, to poradziłabyś sobie z każdym wyzwaniem. – Zastanawiał się, kto pozbawił tę mądrą kobietę pewności siebie. – Gdziekolwiek wchodzisz, wnosisz z sobą słońce, życie. Samą swoją obecnością rozsiewasz blask.

Przyjrzała mu się znad krawędzi kubka.

– Dziękuję, miły jesteś. Ale marzenia, wizje, obietnice są mi obce. Lubię konkrety, fakty.

– Wiele osób doceniłoby przywódcę, który twardo stąpa po ziemi.

Odwróciła wzrok. Przez moment zajmowała się poprawianiem siatki przy wózku Issy.

– Nie zawsze taka byłam.

– Jaka?

– Rzeczowa. – Kątem oka zerknęła na swego towarzysza. – Jako dziecko byłam potwornie roztrzepana. Gubiłam w hotelach wstążki do włosów, zostawiałam w samolocie lalki lub książki. Rano nie chciało mi się

wstawać, snułam się półprzytomna, spóźniałam się na ważne spotkania. Służba miała polecenie budzić mnie pół godziny przed ustaloną porą.

Jego i Dylana mama budziła rano przez całą szkołę podstawową, potem kupiła im wielki ohydny budzik, który dzwonił tak głośno, że zmarłego by obudził.

– Tak było w domu twojej mamy czy ojca?

– W obu. Mój wewnętrzny zegar nie reagował ani na budzik, ani na żadne rozkłady zajęć.

Była dzieckiem żyjącym na dwóch kontynentach, od którego zbyt wiele wymagano i które znajdowało się pod ostrzałem fotoreporterów. Czy kiedykolwiek mogła się zwyczajnie w świecie odprężyć, po prostu być sobą?

– Chyba wiesz, że zostawianie rzeczy w samolotach, podobnie jak problemy ze zmianą strefy czasowej, zdarzają się nawet najbardziej wytrawnym podróżnikom?

– Próbujesz mnie pocieszyć? – Roześmiała się. – Poradziłam sobie. Zaczęłam wszystko planować, zapisywać, przewidywać. Wprowadziłam ład do życia.

– Czyli? – Chciał nie tylko poznać jej ciało, ale także jej tajemnice, odkryć, co ją ukształtowało.

– Na przykład zawsze zajmowałam to samo miejsce w samolocie, wylatywałam o tej samej porze. Rutyna sprawia, że świat staje się bardziej stabilny, mniej zagmatwany.

– Mniej zagmatwany?

– Dobra, zapomnij o wszystkim, co powiedziałam.

– Za późno. Pamiętam każde twoje słowo. – I ze zdumieniem odkrył, że tak jest w istocie.

– Jesteś jednym z tych ludzi obdarzonych fantastyczną pamięcią? To

pewnie pomaga w pracy.

– Hm... – Pamięć miał całkiem przeciętną. Jedynie gdy chodziło o Mari, to niczego nie zapominał, ale oczywiście nie zamierzał jej tego mówić.

– Rutyna może ci się wydawać czymś nudnym, ale bez niej bym zwariowała. – Zamilkła. – Jestem księżniczką. Bez względu na to, ile list sporządzę, moje życie zawsze będzie nieprzewidywalne.

– Nieprzewidywalność ma swoje plusy – stwierdził Rowan. Marzył o tym, żeby pogłodzić ją po twarzy.

– Nieprzewidywalność... Hm, teraz zaskoczysz mnie pocałunkiem?

Przysunął się bliżej. Czują na policzku jego oddech:

– Pomyślałem, że może tym razem ty mnie zaskoczysz.

Zmarszczywszy czoło, utkwiała w nim spojrzenie. Był pewien, że Mari zaraz wybuchnie śmiechem. Bo jak to tak: miałyby go pocałować, i to w miejscu publicznym? Wprawdzie miejsce publiczne w niczym nie przeszkadzało parze przy sąsiednim stoliku, ale... Cisza się przeciągała. Rowan już nastawił się na to, że za moment...

A nie, wcale nie powiedziała mu, by poszedł do diabła. Przeciwnie, przywarła ustami do jego warg. Nie był to namiętny pocałunek, ale nie było to również zwykłe muśnięcie. Zakręciło mu się w głowie, jakby był pijany, choć przez cały wieczór pił jedynie kawę i sok owocowy. Smak soku poczuł też na wargach Mari. Ścisnęła jego dłoń. Ręce miała miękkie, delikatne.

Nagle, położywszy dłoń na jego torsie, Mari odepchnęła go. Znów dzieliła ich szerokość blatu.

– To nie... – powiedziała speszona. Twarz miała zaczerwienioną. – Nie chciałam...

– Ciii. – Przycisnął palec do jej ust, z trudem powstrzymując podniecenie. – Nie trzeba wszystkiego rozkładać na czynniki pierwsze.

Niektóre rzeczy należy zaakceptować i o nic nie pytać. Skończmy kolację i wracajmy do hotelu.

– Zamierzasz mnie uwieść?

Czy robiła to specjalnie? Czy wiedziała, jak kusząco wygląda? Z jej oczu wycierało pożądanie. Rowan wzruszył ramionami.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytał. – Po prostu chcę się położyć. Dzisiejszej nocy ty masz dyżur.

W odpowiedzi rozciągnęła usta w uśmiechu. Nie mógł oderwać od niej oczu. Była niesamowita: szczerą, zabawną, inteligentną, tajemniczą. Ujął jej dłoń, kiedy nagle przy stoliku zakochanej pary rozległ się pisk.

– O Jezu! To ona! – Dziewczyna zaczęła szarpać swego partnera za ramię. – Księżniczka Ma... Mariama! Muszę mieć z nią zdjęcie. Błagam, misiu, cyknij nam fotkę!

Najwyraźniej kamuflaż przestał działać. Sądzieli, że do rana zachowają anonimowość, ale się mylili. No cóż, wkrótce wszyscy się dowiedzą o ich decyzji.

Dwie godziny później Mari pochyliła się nad Issą, sprawdzając, czy mała śpi, po czym wyciągnęła się na łóżku. Była sama. Sama w pokoju wchodzącym w skład hotelowego apartamentu wynajętego przez Rowana.

Gdy dziewczyna w restauracji poinformowała wszystkich, że tuż obok siedzi księżniczka, ludzie natychmiast wyciągnęli telefony. Mari nawet nie miała czasu ochłonąć po pocałunku.

Oczywiście została zasypana pytaniami o dziecko. Rowan spokojnie wyjaśnił, że razem opiekują się niemowlęciem, a na więcej informacji trzeba poczekać do porannej konferencji prasowej.

Dopiero gdy opuszczali lokal, Mari zauważyła obecność ochroniarzy. Ciekawe, skąd się wzięli? Zamierzała porozmawiać o tym z ojcem i

dowiedzieć się, dlaczego postanowił zlekceważyć jej prośbę, bo przecież mówiła, że nie życzy sobie ochrony.

Z powodu Issy rozumiała sens zwiększonej ochrony i może sama by jutro kogoś zatrudniła, choć na pewno nie tak wielką ekipę. Ochroniarze pomogli im – jej, Issie i Rowanowi – sprawnie opuścić restaurację, po czym odprowadzili ich do hotelu. Nie musiała chować się w toaletach ani przemykać korytarzem. Po prostu wyszła z lokalu otoczona roslymi mężczyznami, podczas gdy Rowan stanowczym tonem powtarzał: „Żadnych więcej komentarzy”.

Jutro na konferencji pojawią się tłumy dziennikarzy. Zatrudniony przez jej ojca spec od promocji sam by tego lepiej nie wymyślił. Czy Rowan wiedział o tym, kiedy się całowali? Czy to zaplanował? Niestety mało było ludzi całkiem bezinteresownych; większość chce coś ugrać dla siebie. Zastanawiała się nad pobudkami Rowana. Czyżby też miał jakiś ukryty cel? Hm, pocałunki, flirtowanie, wspólna opieka nad Issą...? Psiakość!

Dopóki nie uzyska odpowiedzi na nurtujące ją pytania, nie może pozwolić sobie na... Na nic.

Po paru minutach usiadła na łóżku i spuściła nogi na podłogę. Nie będzie przecież spała; musi opiekować się małą oraz wykonać ważny telefon. Issa wypila butelkę mleka i smacznie spała. A zatem ona, Mari, może bez przeszkód zadzwonić do ojca.

Sięgnęła po leżący na szafce telefon i wcisnęła numer. Po dwóch dzwonekach rozległ się dobrze znany głos.

– Tatku, musimy porozmawiać – oznajmiła.

Na drugim końcu linii usłyszała tubalny śmiech.

– O twoim narzeczonym i dziecku, które przede mną ukrywasz?

Mari zacisnęła powieki; oczami wyobraźni widziała ojca siedzącego w

ulubionym skórzanym fotelu na werandzie, gdzie najchętniej pracował. Czuł się tam bliżej natury oraz swoich ludzi, mimo że dzieliły go od nich trzy grube mury oraz zastępy ochroniarzy.

Wzdychając cicho, Mari przyłożyła palce do głowy i pomasaowała skroń.

– Skąd wiesz o Rowanie i Issie? Kazałeś mnie śledzić? I dlaczego przydzieliłeś mi ochroniarzy?

– Po kolei, córeczko. Po pierwsze, o doktorze Boosie i dziecku dowiedziałem się z internetu. Po drugie, nie każę śledzić członków rodziny, przynajmniej rzadko to robię. A po trzecie, nic nie wiem o żadnych ochroniarzach. Przypuszczam, że wyjął ich twój narzeczony.

Rowan potajemnie zatrudnił ochronę? Ogarnęła ją złość. Nie lubiła tracić kontroli.

– On nie jest moim narzeczonym – odrzekła. Bo nie był. mimo że się całowali – a Issa nie jest naszym dzieckiem. – Zerknęła na pyzate maleństwo śpiące w łóżeczku. – Tak jak Rowan powiedział w restauracji, jest porzuconym niemowlęciem, którym tymczasowo się opiekujemy.

– Wiem, Mariamo, że dziecko nie jest twoje.

– To też wyczytałeś w internecie? – Obserwowała, jak klatka piersiowa dziewczynki miarowo unosi się i opada.

– Po prostu trzymam rękę na pulsie, skarbie. Wiem, że nie byłaś w ciąży i wiem, że nigdy nie przepadałaś za Rowanem Bootheem.

Przypomniała sobie, jak Rowan z Issą w ramionach krążył po salonie.

– Dziecko zostało porzucone w apartamencie hotelowym Rowana, tato. Oboje się Issą opiekujemy, dopóki policja nie znajdzie jej krewnych. Sam wiesz, ile jest sierot w Afryce. Nie chcieliśmy, żeby trafiła do domu dziecka, skoro możemy jej pomóc.

Usłyszała rytmiczny stukot klawiszy. Ojciec zawsze pracował; nie znał pojęcia „odpoczynek”. Poważnie traktował swoją rolę przywódcy.

– Wyjaśnij mi, proszę, dlaczego pomagasz mężczyźnie, którego nie cierpisz, zajmować się dzieckiem, którego wcześniej nie widziałaś na oczy? Przecież sam by sobie doskonale poradził.

– Dlatego, że jestem filantropką?

– Tak, to prawda – przyznał ojciec – ale nie potrafisz kłamać. Powiedz, dlaczego czujesz się odpowiedzialna za Iszę?

Nigdy nie była w stanie niczego przed nim ukryć.

– Od rana byłam na nogach. Wieczorem, zmęczona, próbowałam umknąć grupie turystów. Na korytarzu stał wózek z zamówioną kolacją. Postanowiłam ją dostarczyć, a tym samym schować się przed moimi prześladowcami. – Zamilkła. Boże, co jej strzeliło do głowy? Jej zachowanie zwykle cechowała większa ostrożność.

Okazało się, że to Rowan zamówił kolację. Dziecko było ukryte na półce pod wózkiem. Nic nas nie łączy, tato.

Słyszając pisk, poderwała się z łóżka i delikatnie pogładziła małą po buzi. Sekundę później rozległo się pukanie do drzwi. Zasłoniła ręką mikrofon.

– Wszystko w porządku! – zawołała.

Mimo to Rowan wsunął do środka głowę.

– Co się stało?

– Nic. – Odsłoniła – mikrofon. – Tato, muszę kończyć.

Rowan, wsparty o framugę, patrzył na nią pytająco. Przyciskając telefon ramieniem, by mieć wolne ręce, Mari obciągnęła spódnice.

– Skarbie, wydaje mi się, że jednak podszkoliłaś się w kłamstwie. Coraz mniej o tobie wiem.

Serce zabiło jej szybciej. Ojciec ma rację. Tu nie chodzi tylko o Iszę.

Sama siebie okłamuje, twierdząc, że nic jej nie łączy z Rowanem. Zerknęła w stronę drzwi. Przywoływał ją wzrokiem, a ona miała ochotę do niego lecieć. Jak ćma do ognia.

Ale nie mogła tego zrobić, bo na drugim końcu linii czekał ojciec. Postanowiła zmienić nieco temat, zanim powie coś, czego będzie żałowała.

– Tato, ta sytuacja powinna cię ucieszyć. Zbliżają się święta, twoi ludzie od reklamy będą zachwyceni. Chociaż raz nie sprawię ci zawodu.

Rowan zmarszczył czoło. Psiakość, powinna była Ugryźć się w język! Ale było już za późno. Tak, nigdy nie potrafiła sprostać oczekiwaniom swoich rodziców.

– Skarbie – usłyszała w słuchawce ochrypły głos Ojca. – O czym ty mówisz? O jakim zawodzie?

Pokręciła ze śmiechem głową.

– Jesteś gorszym kłamcą niż ja, tato. Ale i tak cię kocham. Dobranoc.

Rozłączyła się. Była skołowana. Za dużo się działo, doświadczała zbyt wiele silnych emocji. Utkwiła spojrzenie w twarzy Rowana. Jego oczy mówiły jej, że tylko jeden mały krok, jedno małe słowo dzieli ich od pocałunku, od pieszczot, seksu.

Ale zdenerwowanie, niepewność, splątane emocje nie pozwalały jej na wykonanie tego kroku. Czowała, że chwila jest nieodpowiednia. Stawka była zbyt wysoka, ryzyko zbyt duże. Od tego, co zrobią, zależy los małej Issy...

A także jej, Mari, spokój. Wiedziała, że nie może stracić kontroli. A o to było nietrudno, kiedy w pobliżu znajdował się Rowan.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Biorąc głęboki oddech, podeszła bliżej.

– To ty wynajęłaś ochroniarzy?

– A myślałaś, że kto? – Ściągnął brwi.

– Mój ojciec.

– Nie, ja. Zrobiłem to, co należało do niego. Zadbalem o twoje bezpieczeństwo – oznajmił aroganckim tonem.

Uniosła dumnie głowę. Może miał rację, może potrzebowali ochrony, choćby ze względu na Isse, ale jakim prawem za nią decydował?

– To, że cię pocałowałam w restauracji, nie znaczy, że zamierzam się z tobą przespać.

Uśmiechając się łobuzersko, przyłożył dłoń do serca.

– Boże, chyba się zastrzele.

– Oczywiście żartujesz. – Dzielili ich dosłownie centymetry.

– Oczywiście. Ale żeby nie było wątpliwości: pragnę cię i każdy dzień, kiedy na ciebie czekam, jest udręką.

– Jego głos przejął ją dreszczem. – Zdaję sobie jednak sprawę, że dziś nie będziemy się kochać.

– A jeśli nigdy nie będziemy?

– Taka możliwość, księżniczko, w ogóle nie wchodzi w grę. – Wierzchem dłoni odgarnął jej z ramienia włosy.

Przez moment nie była w stanie zaczerpnąć powietrza. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, Rowan cofnął się w głąb salonu, powoli zamykając za sobą drzwi.

Stała zdezorientowana. Potem wykonała krok do tyłu, jeden, drugi, i

czując za sobą opór, usiadła na brzegu łóżka. Łóżka, które nagle wydało jej się przeraźliwie zimne i puste.

Przez rozsuwane drzwi Rowan wyszedł na zewnątrz. Liczył na to, że chłodne powietrze nocy ostudzi jego rozgrzane ciało. Pozostawienie Mari samej w pokoju było bardzo trudne, ale zrobił to z dwóch powodów.

Po pierwsze, nie chciał wywierać na nią presji. Jeszcze by się wystraszyła. Kiedy będą się kochać, Mari musi być pewna, że też tego pragnie. Po drugie, spieszył się na spotkanie z przyjacielem z czasów szkolnych, który pracował dla Interpolu i kierował dziś ekipą ochroniarzy.

Zbiegł po schodach, minął basen oraz turystów, którzy bawili się w najlepsze – jedni skakali pod sztucznym wodospadem, inni pływali na materacach, jeszcze inni sączyli kolorowe drinki, odpoczywając na leżakach – i ruszył w stronę nabrzeża.

Spotkanie, na które zmierzał, miało się odbyć na plaży, z dala od ciekawskich oczu. Ryzyko, że ktoś podsłucha rozmowę, było znikome; huk fal wszystko zagłuszał. Po wodzie sunęły statki, na niebie migotały gwiazdy.

Rowan wszedł za duży płócienny parawan.

– Przepraszam za spóźnienie.

Jego szkolny przyjaciel, Elliot Stare, siedział na leżaku; drugi, pusty, stał obok. Oba zwrócone były w stronę oceanu.

– I tak nie mam nic lepszego do roboty.

Oczywiście to nie było prawdą. Elliot jako światowej sławy kierowca Formuły 1 mógł odwiedzać różne kraje, nie wzbudzając podejrzeń. Obracał się w kręgach politycznych, dyplomatycznych, miał ważne znajomości. Korzystał z tego ich mentor, pułkownik Salvatore.

– W każdym razie dzięki, że przyleciałeś.

– Odkąd narzeczona mnie rzuciła, nie wiem, co robić z czasem.

– Współczuję.

Elliot kochał kobiety. O jego bujnym życiu erotycznym pisały gazety na wszystkich kontynentach. Ludzie sądzili, że to z tego powodu narzeczona wystawiła mu walizki za drzwi, Rowan jednak podejrzewał, że chodziło o coś innego. Narzeczoną wystraszyła jego praca dla Interpolu. Z tego powodu rozpadł się niejeden związek członków Bractwa Alfa. Ciekawe, jak Mari zareagowałaby, gdyby poznała prawdę o nim, Rowanie?

– Zdarza się. – Elliot pociągnął łyk bursztynowego płynu, po czym odstawił szklanekę. – Mieliliśmy zaplanowany miesiąc miodowy. Kiedy się rozstaliśmy, dałem jej oba bilety. Pojechała ze swoją przyjaciółką w Alpy, a ja... – wzruszył ramionami – mogę się zająć czymś pożytecznym.

Wyraźnie nie chciał współczucia, prędzej skusiłby się na drugą szklanekę whisky. Wyglądał okropnie. Oczy miał podkrążone, włosy przystrzyżone na jeża...

– Stary, gdzie twoje loki? – spytał Rowan, wskazując na głowę przyjaciela.

Długie kręcone włosy były jego znakiem rozpoznawczym. Elliot z charakterystyczną szopą na głowie pojawiał się wszędzie: na okładkach pism, na plakatach i billboardach. Kumple ze szkoły kadetów – ci, którzy nazywali siebie Bractwem Alfa – zawsze ze śmiechem dopytywali go o bieliznę, którą reklamował.

Elliot przejechał dłonią po języku.

– Podczas treningu miałem wypadek. Samochód się zapalił, włosy zajęły się ogniem.

– Chryste! Czy.

– Tylko kudły ucierpiały. Nie ma o czym mówić.

– Oj, stary, przestałbyś tak ryzykować.

Wszyscy członkowie Bractwa mieli pogmatwane życie. Wydarzenia, z powodu których trafili do wojskowego poprawczaka, zostawiły trwałe ślady w ich psychice.

– I kto to mówi? Facet, który jeździ do ogarniętych wojną wiosek, żeby szczepić miejscową ludność?

Rowan wzruszył ramionami.

– Przynajmniej nie łążą za mną tłumy fanów.

– Większość jest nieszkodliwa.

Ale nie wszyscy. Dlatego Rowan prosił Elliota o radę, jak najlepiej zapewnić Mari i Issie bezpieczeństwo.

– Dzięki za ochroniarzy. Spisali się dziś fantastycznie.

– Wiele do roboty nie mieli. – Elliot ponownie uniósł szklanekę i opróżnił ją do dna. – O co chodzi z tą twoją zabawą w dom?

– Dzieciak potrzebował pomocy, więc pomogłem.

– Zawsze miałaś zadatki na świętego.

– Nie żartuj. Co to za święty, który ma nieograniczone fundusze i kumpli w Interpolu? Święty to ktoś, to nie cofa się przed trudami.

– A księżniczka? O ile mi wiadomo, cieszy się opinią osoby krytycznie nastawionej do doktora Boothea.

Rowan przypomniał sobie artykuł, w którym wytykała słabe punkty jego programu diagnostycznego. Oczywiście szybko wprowadził poprawki, bo miała rację, ale mogła z nim porozmawiać, zamiast od razu wysłać tekst do druku.

– Mari też potrzebuje mojej pomocy. Nic więcej się za tym nie kryje.

Elliot parsknął śmiechem.

– Wiesz, że sam się oszukujesz?

Brzegiem wody szła objęta para, obok niej przebiegł jogger, któremu

towarzyszyło psisko.

– Gdybyś był dobrym przyjacielem, pozwoliłbyś mi na to.

– Czyli wiesz?

– Owszem – przyznał Rowan. Przecież od lat jej pragnął.

– Zadurzyłeś się.

– Zadurzyłeś? Człowieku! Nie jestem nastolatkiem.

– Fakt. Jaki masz plan?

– Na razie żadnego. – Zresztą czułby się niezręcznie, opowiadając komuś o Swoich... Hm, uczuciach? Fascynacji?

– A jeśli wam nie wyjdzie? Jej ojciec to wpływowi gość. Jego królestwo leży rzut beretem od twojego miejsca pracy.

Rowan zamyślił się. To nie przyszło mu do głowy.

– Zaraz, zaraz, Stare. Ty mi dajesz porady sercowe?

– Nikt lepiej ode mnie nie wie, czego unikać, gdy jest się w związku. – Elliot uniósł szklanekę, jakby wznosił toast. – Za moje trzy zerwane narzeczeństwa.

– Nie jestem w żadnym związku. Ani nie chcę być – oznajmił Rowan.

Przyjaciół popatrzył na niego trzeźwym wzrokiem.

– I znów się oszukujesz.

– To ma być rada?

– Czemu nie?

No dobra. Rowan wstał. Miał dość rozmowy o Mari i o tym, jaką katastrofą zakończy się ich związek. Związek, który jeszcze się nie zaczął.

– Dobranoc, stary.

– Co, trafiłem w czuły punkt?

– Doceniam twoją troskę. I pomoc. – Rowan poklepał przyjaciela po ramieniu. – Wracam do hotelu.

Już dość długo go nie było. Wierzył w doświadczenie ochroniarzy, których Elliot mu polecił, mimo to wolał sam mieć wszystko na oku.

Wiejący od wody silny wiatr wydymał mu koszulę. Brnąc w piasku, Rowan kierował się w stronę hotelu, który stał wśród przystrojonych światełkami drzew. Do świąt zostały niecałe dwa tygodnie. Jak co roku spędzi Boże Narodzenie w swoim domu koło kliniki, pomagając przy różnych nagłych wypadkach. Ciekawe, jakie plany ma Mari? Pojedzie odwiedzić rodziców?

Jego rodzice nie obchodzili świąt. Tak było lepiej, przynajmniej unikali bolesnych wspomnień.

Wchodząc na teren hotelu, odsunął od siebie ponure myśli. Wolał skupić się na terażniejszości, żyć dniem dzisiejszym, nie robić planów. Przekonał się, że tak jest najrozsądniej. A obecnie jego terażniejszość to Mari i Issa.

W drodze do apartamentu mijał palmy w donicach, rzeźbione maski, wypchane zwierzęce głowy. Nie zwracał na nie uwagi. Skinąwszy do dwóch ochroniarzy pilnujących drzwi, wszedł do środka.

Pałaca się przy barku nieduża lampka oświetlała pusty salon. Cisza dzwoniła w uszach. Rowan ruszył na palcach do pokoju Mari. Zza drzwi nie docierały żadne dźwięki.

Drzwi były lekko uchylone. Pchnął je. Starał się nie myśleć o tym, że narusza prywatność Mari; po prostu sprawdzał, czy Issa śpi. Przecież to, jak wygląda śpiąca Mari, wcale go nie interesowało. Nic a nic.

Żeby uspokoić sumienie, najpierw podszedł do dziecięcego łóżeczka. Pызate niemowlę spało z paluszką w buzi. Nie wiedział, co będzie z nim i Mari, czy ich znajomość przekształci się w coś trwalszego, ale wiedział, że na pewno postąpili słusznie, decydując się na opiekę nad Issą.

Krok po kroku, dzień po dniu. Czynienie dobra, pomaganie innym. Tak żył. W ten sposób starał się odpokutować za grzechy przeszłości.

Czy matka Issy żałowała porzucenia córki? W liście napisała, że chce, aby jej dzieckiem zaopiekował się ktoś taki jak on. Nie miała pojęcia o jego powiązaniach z Interpolem. Gdyby o tym wiedziała, przypuszczalnie nie zostawiłaby malej pod jego drzwiami. Zamierzał matkę odnaleźć. To tylko kwestia czasu.

Nie podda się. Przyszłość Issy zależy od odpowiedzi, jakie zdoła uzyskać. Przeniósł wzrok z dziecka na śpiącą obok kobietę. Czy to ta sama osoba, która tak zawzięcie go krytykowała? Czarne jedwabiste włosy leżały na białej poduszce, blask księżyca pieścił szyję, przykryte kołdrą piersi rytmicznie unosiły się i opadały.

Przeszył go dreszcz. Miał ochotę zgarnąć Mari w ramiona i zabrać do swojego pokoju. Do diabła z czekaniem. Do diabła z cierpliwością.

Już się schylał, kiedy nagle przypomniał sobie, co mówiła ojcu: że jest rozczarowaniem dla swoich bliskich. Zawahał się. Jak to możliwe? Czy ta wspaniała istota może kogokolwiek zawieść? Owszem, czasem się z nią nie zgadzał, ale zawsze ją podziwiał, doceniał jej błyskotliwość, wiedzę, inteligencję.

Podśluchana rozmowa Mari z ojcem nie dawała mu spokoju. Wiedział, co to są kompleksy, co to znaczy być gorszym, niezrozumianym. Mari należało się coś więcej od życia: piękny romans, a nie szybki numerek.

Warto się zastanowić, wszystko starannie obmyślić; nie będzie to stracony czas. Cofając się od łóżka, Rowan wyjął z kieszeni telefon. Musi porozumieć się z Salvato-rem. Przystanąwszy w drzwiach, jeszcze raz omiół Mari wzrokiem. Wiedział, że tej nocy nie zmruży oka.

Śniła o Rowanie, o jego niebieskich oczach, które pieściły ją

spojrzeniem, o dłoniach, które trzymały ją nie pozwalając jej odpłynąć. Unosili się razem na wodzie, z dala od pracy i obowiązków. Nigdy nie czuła się taka wolna, taka... podniecona. Rowan niskim ochrypłym szeptem powtarzał, jak bardzo jej pragnie. Jego głos przejmował ją dreszczem, rozpalał.

Rowan... Marzyła o tym, by zacisnąć nogi wokół jego pasa, poczuć w sobie jego siłę. Całymi latami spierali się o wszystko, głównie o sprawy zawodowe, ale także o pogodę. Teraz te kłótnie, ten sparring słowny przemienił się w dziwną napiętność, w pożądanie mężczyzny, którego

– gotowa była to przysiąc – nawet nieszczególnie lubiła.

Co prawda „lubienie” nie ma nic wspólnego z ogniem, który ją trawił. Zaciskając uda, przewróciła się na bok. Hm, nie była w morzu, była we własnym łóżku.

Powoli rzeczywistość zaczęła wkradać się w jej sen. Zza okna dochodził szum fal, a zza ściany męski głos.

Poderwała się. Nic dziwnego, że śniła o Rowanie: jego głos wwierał się jej do głowy. Przytuliła do piersi poduszkę i nasłuchiwała. Słyszała dźwięki, ale nie odróżniała słów. Raz na jakiś czas zapadała cisza. Przymuszczałnie Rowan rozmawiał przez telefon.

Wstała jak najciszej, by nie obudzić dziecka. Sięgnęła po szlafrok wiszący na oparciu fotela bujanego, wsunęła ręce w chłodne atlasowe rękawy. Miała słabość do zmysłowych peniuarów i domowych pantofelków na obcasach, niezbyt wysokich, ozdobionych puszką. Czuła się w nich kobieco, seksownie, jak gwiazda srebrnego ekranu.

Ciekawe, czy spodoba ją się Rowanowi? Czy w ogóle je zauważy? Nie mogła przestać o nim myśleć, w dodatku zastanawiała się nad jakimiś nieistotnymi bzdurami. Najgorsze było to, że miała ochotę wrócić do krainy

snu i zapomnieć o całym świecie. A przecież powinna być skupiona na Issie i jej przyszłości.

Pochyliła się nad dziecięcym łóżeczkiem, chcąc sprawdzić, czy mała oddycha. Jak to możliwe, że taka kruszyna tak szybko podbiła jej serce? Głos Rowana znów dobiegł zza drzwi. Z kim rozmawia o tak późnej porze? I o czym? Zapewne o Issie.

Czyżby zdobył jakieś informacje o rodzinie dziecka? Nie była pewna, czy to by ją ucieszyło. Chwyciwszy odbiornik elektronicznej niani, cichutko nacisnęła klawiskę. Nie chciała Rowanowi przeszkadzać. Kiedy weszła do salonu, stał ze słuchawką przy uchu, twarzą do okna, za którym rozciągał się widok na plażę skąpaną w promieniach księżyca.

Nawet gdyby próbowała, nie potrafiłaby się powstrzymać. Skierowała wzrok na jego biodra. Korciło ją, by podejść bliżej, wsunąć dłoń do kieszeni na pupie. Dlaczego wcześniej nie zauważyła, że Rowan ma tak zgrabny tyłek? Pewnie dlatego, że zwykle widywała go w fartuchu lekarskim albo w garniturze.

Instynktownie wyprostowała się, wciągnęła brzuch, wypięła pierś. W jej śnie jego dłonie pokryte były odciskami. A w rzeczywistości? Miała wrażenie, że to najważniejsza rzecz na świecie: przekonać się o tym. Zadrżała z podniecenia, ale kiedy się odwrócił, przybrała neutralny wyraz twarzy.

Nie okazał zdziwienia. Położywszy telefon na barku, powiódł po niej spojrzeniem. Na moment zatrzymał wzrok na jej fikuśnych pantoflach z puszkami i uśmiechnął się pod nosem.

– Dawno wstałaś?

– Parę minut temu. Słyszałam, jak powtarzasz „aha,aha”. – Poprawiwszy szlafrok, objęła się w pasie. – Można spytać, z kim rozmawiałeś o tak późnej godzinie?

– Najpierw z szefem ochroniarzy, potem sprawdzałem pewną informację o Issie.

Mari podeszła tam, gdzie stał przy oknie. Krew dudniła jej w skroniach.

– Coś już wiadomo?

– Jeszcze nie. – Zaciśnął rękę na jej ramieniu. – Ale pracujemy nad tym. Zwilżyła usta.

– Kim są ci „my”, o których ciągle mówisz?

– Jestem bogatym człowiekiem, Mari. Bogaci ludzie mają wiele znajomości. Korzystam z nich.

Cofnął rękę. Szkoda. Wyobraziła sobie, jak Rowan gładzi ją po szyi, dekolcie... Zadrżała z podniecenia. Psiakrew, nie przywykła do tego, aby rządziły nią zmysły. Jest naukowcem, zawsze trzeźwo myśli. Musi się otrząsnąć, przestać bujać w obłokach.

Zmrużywszy oczy, przyjrzała się Rowanowi. Coś ukrywał, była tego pewna, ale co? Szukając odpowiedzi, Utkwiła spojrzenie w jego twarzy i raptem uświadomiła sobie, że właściwie go nie zna, zna tylko kilka podstawowych faktów: że był niegrzecznym chłopcem z wojskowego poprawczaka, a obecnie jest szanowanym lekarzem żyjącym w blasku chwały.

W przeciwieństwie do niego ona wolała przebywać w cieniu. Nagle naszły ją wątpliwości: czy to możliwe, że Rowan chce ją wykorzystać? Zasepiła się. Nie, przypuszczalnie wystraszona tym, jak silnie na nią działał, próbuje sobie obrzydzić jego wizerunek.

Po chwili ujął ją za rękę i pociągnął w stronę kanapy, Żołądek podszedł jej do gardła, serce o mało nie stanęło. Nie zaprotestowała; ciekawa była, co z tego wyniknie.

Usiedli. Patrzył na nią w milczeniu, kciukiem głaszcząc jej nadgarstek. Czego się spodziewał? Że rzuci mu się na szyję? Przecież powiedziała, że nie

pójdzie z nim do łóżka. A może dojrzał w jej oczach wahanie?

Wciąż milczał. Zastanawiała się nerwowo, jakimi słowami przerwać ciszę. Tak, musi coś zrobić, by nie zwariować, by nie myśleć o tym, jak niewielka przestrzeń ich dzieli...

– Wierzysz, że uda się znaleźć rodzinę Issy?

– Mam nadzieję.

W głowie kręciło się jej od zapachu jego wody po goleniu. Skup się na Issie, nakazała sobie.

– Jutro, a raczej dziś, bo północ już minęła, musimy dać oświadczenie dla prasy. Niech moja pozycja na coś się przyda.

Uścisnął jej dłoń.

– Nie musisz stawać na linii ognia.

– Przecież dlatego prosiłeś mnie o pomoc. Uznałeś, że lepszy będzie większy rozgłos...

– Dzieckiem mogłem zająć się sam. – Utkwił spojrzenie w jej oczach. – Chciałem spędzić trochę czasu z tobą.

– Posłużyłeś się Issą do własnych celów?

Przycisnął jej dłoń do serca.

– Nie. Bardzo liczę na twoją pomoc, i w opiece nad małą, i przy szukaniu jej rodziny. Ale pragnę cię również lepiej poznać.

– Poznać czy pocałować?

Przysunął się; ich usta niemal się stykały.

– Jedno i drugie. To źle? – Jego oddech pieścił jej wargi. – Księżniczko.

Wróciła na ziemię. Tak, jest księżniczką, córką swego ojca. Następczynią tronu. Nie miała rodzeństwa, ciotek, wujów. Chciała wierzyć, że Rowanowi zależy na niej, na kobiecie, ale w przeszłości ludzie zbyt często próbowali wykorzystać jej pozycję. Odsunęła się.

– Myślisz, że jestem rozpieszczoną...

– Nie. Czasem w gniewie wygadujemy głupoty. Przepraszam. –
Wyciągnął ramię na oparciu kanapy.

– Więc co właściwie o mnie sądzisz? – Nigdy dotąd nie obchodziło jej zdanie innych. Chociaż nie, zależało jej na opinii rodziców. A także pierwszego kochanka, który, jak się potem okazało, posłużył się nią, by dotrzeć do jej ojca.

– Sądzę, że jesteś piękną i mądrą kobietą.

– Dobrze zorganizowaną i straszliwie spiętą.

Odwzajemnił jej uśmiech.

– Kreatywną i powściągliwą.

– No dobra, jestem rozpieszczoną księżniczką – rzekła, nie mogąc się oprzeć jego ciepłemu spojrzeniu.

– Żyłam w luksusie, nigdy niczego mi nie brakowało. Miałam wszystko, czego Issa potrzebuje, wszystko, czego pragnie dla niej jej zdesperowana matka. Musi być zdesperowana, skoro zostawiła córkę na łaskę obcych. Głupio mi, bo jedyne, czego ja pragnę, to być normalna.

– Marzy ci się normalne życie? – Rowan potrząsnął głową. Skórzana kanapa zatrzeszczała, kiedy zmienił pozycję. – Ja takie miałem, a mimo to wylądowałem u kadetów.

Czytała o tym, jak pod wpływem alkoholu spowodował wypadek, a potem wyszedł na prostą. Był symbolem człowieka, który zrozumiał swój błąd i starał się odpokutować dawne winy.

Jej krytyczne artykuły na temat jego programu nie cieszyły się popularnością. Cynicy sugerowali, że próbuje się mścić, bo Rowan pewnie nadepnął jej na odcisk lub odtrącił jej awanse. Bolały ją takie zarzuty.

Nie mogła jednak zaprzeczyć, że zbudowana przez niego klinika

pomogła wielu chorym. Świat potrzebował takich ludzi jak Rowan Boothe.

– Później jednak wkroczyłeś na właściwą drogę i już z niej nie zszedłeś.

– Tak, ale to nie przekreśla moich wcześniejszych win. Nic ich nie przekreśli. – Przeczesał ręką włosy. – Dlatego wściekam się, kiedy prasa opisuje mnie jak świętego.

– Twoja historia daje ludziom nadzieję, pokazuje, że można zmienić życie.

Zaklął pod nosem.

– Och, nie bądź takim Grinchym. – Mari szturchnęła go lekko w bok.

– Takim kim? – Uniósł pytająco brwi.

– Grinchym. Wiecznie skrzywionym marudą z filmu „Świąt nie będzie”. Uwielbiałam ten film. Widziałam go dziesiątki razy, głównie w samolotach, kiedy latałam od jednego rodzica do drugiego.

– Jeśli nie podoba ci się moja skrzywiona mina, to porozmawiajmy o czymś innym. – Jego ręka spoczęła na jej ramieniu. – Co jeszcze uwielbiałaś w dzieciństwie?

– O nie! Próbujesz mnie zdekoncentrować.

– Ja? – Delikatnie przyciągnął ją do siebie, po czym zamknął jej usta pocałunkiem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na moment Mari znieruchomiała, po czym dała upust pragnieniom, które naszyły ją podczas snu, a które od przebudzenia usiłowała pohamować. Objęła Rowana za szyję, przysunęła się bliżej, niemal się w niego wtapiając, i rozchyliwszy wargi, zaczęła odwzajemniać pocałunki.

Wodził dłońmi po jej plecach, jakby usiłował ją zahipnotyzować. Jej ciało powoli się odprężyło, zniknęło napięcie, z którego nawet nie zdawała sobie sprawy. Jedno napięcie zniknęło, za to pojawiło się inne, umiejscowione w dole brzucha. Nie zauważyła, kiedy Rowan pchnął ją na kanapę; leżąc na niej, zamruczał cicho. To było niesamowicie podniecające... Pod sobą miała chłodną miękką skórę, na sobie twarde męskie ciało. Zamknęła oczy. Jego długie włosy łaskotały ją po twarzy.

Co jak co, potrafił całować. Całował całym sobą. Całował i pieścił, gładził ją po biodrach, po brzuchu, wsuwał kolano między jej uda, a ona drżała...

Jej ręce wędrowały po jego ramionach, poznawały twardość pośladków, które tak niedawno mierzyła wzrokiem. Rozbudzona pragnęła więcej pocałunków, więcej pieszczot, więcej wszystkiego. Chciała się z nim kochać. Chciała, by w nią wszedł. Tu, teraz.

Zaczepiła nogę o jego łydkę. Poruszył biodrami. Na brzuchu wyczuła jego twardą męskość. Tak, już niedługo, już za chwilę... Nie mogła się doczekać.

Odgarnął na bok jej włosy, całował ucho, szyję, a ona mruzczała zachęcająco, delikatnie drapała go po plecach. Wreszcie chwyciła za poły koszuli. Szybko, zanim włączy się rozum, zanim zacznie analizować

sytuację, myśleć, dlaczego nie powinni...

Nagle poczuła chłód. Otworzywszy oczy, zobaczyła, że Rowan stoi obok kanapy. Pochylony, z dłońmi opartymi na udach, oddycha ciężko. Był podniecony, wyraźnie to widziała, więc dlaczego wstał, dlaczego się odsunął?

– Co? Jak? Gdzie? – Usiłowała sformułować pytanie.

– Gdzie idziesz?

Popatrzył na kobietę skąpaną w księżycowym świetle. Klatka piersiowa mu falowała, jakby przebiegł wiele kilometrów. Twarz miał nieprzeniknioną, spojrzenie również.

– Dobranoc, Mariamo.

Słowa, które wypowiedział, kłóciły się z tym, od czuła.

– Dobranoc?

– Tak. – Wsunął koszulę do spodni. – To... to się staje zbyt intensywne, wymyka się nam spod kontroli.

– To źle? Ta „intensywność” całkiem mi się podoba. Tobie nie?

– Mnie też. Ale poczekajmy, aż będziesz gotowa.

Nic z tego nie rozumiała.

– Gotowa? Przecież... Rowan, jestem gotowa.

– Nie chcę wywierać na ciebie presji. Chcę, żebyś była absolutnie pewna. – Cofnął się o krok. – Zobaczymy, jak się będziesz rano czuła. Dobranoc, Mariamo.

Obróciwszy się, skierował się do swojego pokoju. Po chwili drzwi się zamknęły. Mari westchnęła zdezorientowana. Co się dzieje? W co Rowan gra? Sam poprosił ją o pomoc przy małej. Pragnął jej. Mimo to wstał i wyszedł.

Nie była dziewicą. Miała wcześniej dwóch partnerów. Z pierwszym spędziła tylko jedną noc. Gdy rano odkryła, że szukał jedynie dojścia do jej

rodziny, na wiele lat straciła zainteresowanie seksem. Drugi związek, z mężczyzną równie introwertycznym jak ona, trwał znacznie dłużej. Z czasem jednak coraz mniej ich łączyło, właściwie został tylko seks. W końcu nastąpiło rozstanie, dość burzliwe, bo były kochanek nie mógł ścierpieć myśli, że kobieta go porzuca. Okazał się palantem.

Rowan natomiast zachowywał się jak dżentelmen. Nie naciskał, nie próbował wykorzystać sytuacji.

Doprowadzał ją do białej gorączki.

Wyjście z salonu wiele go kosztowało. Całą noc o tym myślał, nawet nie zmrużył oka. Nareszcie jednak nastał ranek. Oddychając słonym morskim powietrzem, wciągnął koszulkę polo i dżinsy. Nie mógł się doczekać spotkania z Mari. Jeszcze żadnej kobiety tak bardzo nie pożądał. Wczoraj przekonał się, że ona go również pragnie.

Dziś żadne z nich nie miało wykładu. Podejrzewał, że bez trudu namówi Mari na wagary: zamiast oglądać nudne wykresy i slajdy, a potem jeść niesmaczny lunch w stołówce, mogą...

No właśnie, co? Podczas bezsennej nocy zastanawiał się, jak zawrócić Mari w głowie. Postawił na odrobinę szaleństwa i odrobinę romantyzmu. Zaczął tradycyjnie: kiedy brała prysznic, położył jej na poduszce kwiat. Potem zamówił do pokoju jej ulubione śniadanie. Dzień zamierzał zakończyć kolacją w restauracji na plaży i koncertem. Za to popołudnie zaplanował całkiem inaczej.

Była zaskoczona śniadaniem i ucieszona propozycją, aby spędzić razem dzień, chociaż bała się, że dziennikarze nie dadzą im spokoju. Wyjaśnił, że konferencja prasowa powinna, przynajmniej na jakiś czas, zaspokoić ich apetyty.

Wszedł cicho do salonu. Mari stała z Issą na rękach. Rozpromieniona,

przemawiała do niej czule. Miała na sobie długą sukienkę z jedwabiu, która falowała przy każdym ruchu. Różowy tropikalny kwiat, który zostawił na poduszce, wetknęła za ucho. Rowan wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Po minucie schyliła się i umieściła Isę w wózku. Obejrzawszy się, napotkała jego wzrok.

– Dokąd się wybieramy? – spytała z uśmiechem.

Czy cały czas była świadoma jego obecności? Czy domyślała się, jak ciężko było mu wczoraj od niej odejść?

– To niespodzianka.

– Trochę się denerwuję – przyznała, prostując się. – Boję się spontanicznych działań.

– Mamy z sobą dziecko. – Zacisnął rękę na jej dłoni spoczywającej na uchwycie wózka. – Nie przewiduję żadnych niebezpiecznych szaleństw.

– Aha, to w porządku. – Uwolniwszy rękę, przyłożyła ją do egzotycznego pąka we włosach. – Dziękuję za kwiat.

Przekręciwszy głowę, Rowan pocałował ją lekko w odsłonięty fragment ucha. W nozdrza uderzył go jej zapach, bardziej kuszący od kwiatowej woni.

– Cały dzień będę o tobie marzył – szepnął.

Skierował się za Mari w stronę prywatnej windy.

Długie gęste włosy opadały jej na ramiona. Uświadomił sobie, jaki to rzadki widok; zwykle nosiła je upięte. Rozpuszczone miała wczoraj, kiedy obudziła się w nocy. No i dzisiaj.

Z trudem powstrzymał odruch, aby podejść do niej od tyłu, objąć ją mocno i przytulić. Na myśl o jej pośladkach wciśniętych w swoje podbrzusze i swojej twarzy wtulonej w jej szyję zrobiło mu się ciepło.

Wsiedli do windy i na szczęście szybko, zanim coś głupiego zdążyło mu przyjść do głowy, zjechali na dół. Kiedy drzwi się rozsunęły, odetchnął z

ulgą.

Ulga trwała krótko. Przed hotelem kłębił się tłum dziennikarzy czekających na konferencję prasową. Oczywiście spodziewał się tego. Przecież sam ją zwołał. Ale czuł się niespokojny, mając przy sobie Mari z Issą. Nawet obecność ochroniarzy, których przydzielił im Elliot Stare, nie działała na niego kojąco.

Mari szła przez hol, pchając wózek; Rowan, obejmując ją w pasie, dotrzymywał jej kroku. Goście hotelowi robili zdjęcia, szeptali do siebie. Portier skłonił im się. Minęli go i wyszli na zewnątrz. Rowan poczuł, jak Mari sztywnieje. Ponownie obudził się w nim instynkt opiekuńczy.

– Możemy się wycofać – rzekł jej do ucha. – Wrócić na górę, zjeść lunch na balkonie, spędzić dzień na słodkim lenistwie.

Potrząsnęła głową.

– Trzymajmy się planu. Dla Issy. Chcę, żeby jak najwięcej osób poznało jej historię. Może wtedy odnajdą się jej krewni i pokochają maleństwo tak, jak na to zasługuje.

Podziwiał jej siłę i determinację. I znów, zanim straci nad sobą kontrolę i pocałuje ją na oczach zebranego tłumu, zwrócił się szybko do dziennikarzy.

– Dziś bez pytań. – Uśmiechnął się. – Chcemy tylko złożyć oświadczenie. W przeszłości doktor Mandara i ja wielokrotnie się spieraliśmy, ale zawsze łączył nas wspólny cel; pomoc potrzebującym. Zbliżają się święta, ludzie powinni być z bliskimi, a nam podrzucono to bezbronne dziecko, tę dziewczynkę, która nie wie, kim jest jej rodzina. Czy mogliśmy się od niej odwrócić? Nie. Będziemy się nią razem opiekować, dopóki policja nie znajdzie krewnych. Jeśli dwoje takich adwersarzy jak Mari i ja może współpracować, to wszyscy mogą, prawda?

Uniósł pytająco brwi. Odpowiedział mu śmiech. Kiedy ponownie

zapadła cisza, Rowan dodał:

– Na razie to wszystko. Opiekujemy się dzieckiem, uczęszczamy na konferencję i jeszcze musimy znaleźć czas na świąteczne zakupy. Dziękujemy państwu za przybycie i życzymy wesołych świąt.

Jak na zawołanie z tłumu wyłonili się ochroniarze i otoczywszy ich półkołem, ruszyli z nimi w stronę na– brzeżnych sklepików.

Mari zerknęła spod oka na swojego towarzysza.

– Naprawdę idziemy po zakupy? Myślałam, że faceci nie cierpią chodzenia po sklepach.

– Wolę połączyć po miasteczku, niż słuchać nudnych wykładów. Ale jeżeli ty masz ochotę.

– Nawet nie kończ. – Stuknęła go łokciem w bok.

– A zatem hej– ho! – Objąwszy ją za ramię, uśmiechnął się szeroko.

Mari zadarła głowę.

– Dzięki, Rowan.

– Za co? – Gdyby się pochylił, mógłby ją pocałować, ale zrezygnował, gdy pomyślał o dziennikarzach.

– Za wygłoszenie oświadczenia. Wziąłeś sprawy w swoje ręce... Wiesz, zazdroszczę ci tej swobody, tej pewności siebie. – Zmarszczyła nos. – Żałuję, że tak nie potrafię.

– Mam nadzieję, że cały ten szum medialny pomoże Issie.

– Dlaczego miałyby nie pomóc?

Bo jak się przekonał, współpracując z Interpolem, ludzie bywają samolubni, bezczelni, obłudni.

– Mogą dzwonić żądni wrażeń wariaci i udawać, że mają informacje. Albo idioci pragnący ogrzać się w blasku sławy, którzy wiedzą, że badania DNA nie potwierdzą ich wersji.

– Nie przyszło mi to do głowy. – Popatrzyła na niego przerażonym wzrokiem.

Ścisnął ją za ramię, chcąc dodać jej otuchy.

– Policja będzie miała pełne ręce roboty.

– Dlatego zwlekałeś z oświadczeniem – szepnęła.

– A myślałaś, że co? Że chciałem mieć więcej czasu, aby cię uwieść?

Zmrużyła oczy.

– Chciałeś? To znaczy uwieść?

– Może. – Zdecydowanie chciał.

– Nie wiem, co myślałam. – Westchnęła. – Wszystko dzieje się tak szybko. Trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś mógłby wykorzystać tę sytuację, aby samemu znaleźć się w centrum uwagi.

Rowan zacisnął zęby.

– Będziemy ostrożni. Nikt niepowołany nie uzyska dostępu do ciebie czy Issy. Każdy telefon i każda wiadomość będą dokładnie sprawdzane. Przy nas nic Issie nie grozi. – Na moment zamilkł. – Zobacz, ona reaguje na dźwięk twojego głosu.

– Podejrzewam, że rozgląda się za swoją butelką.

– Wierz, w co chcesz, a ja swoje i tak wiem. – Do jego kliniki przychodziły setki matek, biologicznych i adopcyjnych, z dziećmi. Więź emocjonalna, jaka się między nimi rodziła, nie zależała od więzów krwi.

– Klócisz się ze mną? A dziennikarzom powiedziałaś, że zawarliśmy rozejm.

– Nie klóczę się. Flirtuję. Nie widzisz różnicy?

– Ja...

– Spokojnie. Przecież teraz się na ciebie nie rzucę. Zbyt dużo było aparatów. – Ale jeden niewinny całus. Dziennikarze by oszaleli. Trzeba im od

czasu do czasu podsuwać smakowite kąski.

– O nie.

– Wtedy to ty masz kontrolę. No, szczerzymy ząbki... – Obejmując ją za ramię, posłał stojącemu nieopodal reporterowi szeroki uśmiech. – Pomyśl o pozytywnej reklamie, jakiej przysparzasz twojemu ojcu.

– Ojcu? Naszym głównym zmartwieniem jest to słodkie maleństwo.

Miała oczywiście rację.

– Wiesz co? Ta rozmowa staje się zbyt poważna.

– Fakt. – Mari zacisnęła na moment oczy, po czym otworzyła je i rozciągnęła usta w uśmiechu. – No dobra. Dla kogo szukasz prezentów? Dla rodziny?

– W pewnym sensie.

Przystanął przed sklepem z zabawkami. W oczach Mari pojawiły się wesołe iskierki.

– Dla Issy?

– Dla dzieciaków w klinice.

Przez cały dzień rozmyślała o tym, jak chodząc po sklepie, kupowali zabawki. Mężczyzna, który rano zostawił jej kwiat na poduszce i zamówił jej ulubione śniadanie, był czarujący i bardzo sympatyczny. Ale mężczyzna, który kupuje chorym dzieciom z kliniki prezenty? Takemu nie sposób się oprzeć. Wracając windą do apartamentu, przytrzymała się mosiężnego uchwyty, by nie stracić równowagi. Kręciło się jej w głowie nie ze zmęczenia, lecz z powodu człowieka, który stał obok niej w kabinie.

Dzisiejszy dzień... Och, było cudownie. Owszem, paparazzi łazili za nimi, czaili się za drzewami, ale Rowan nad wszystkim panował i tylko od czasu do czasu rzucał, jak je sam nazywał, smakowite kąski. Grunt, że Issa została obfotografowana. Może ktoś ją rozpozna.

Chociaż serce bolało Mari na myśl o rozstaniu z dziewczynką, pragnęła dla niej tego, co najlepsze. Chciała, by Issa czuła się kochana.

Szaleństwo zakupowe... Cynik mógłby uznać, że Rowan popisывał się przed dziennikarzami albo że usiłował wywrzeć na niej wrażenie. Ale to nieprawda. Miał przy sobie listę imion oraz notatki, co komu się spodoba. Nie żeby potrafiła odczytać te jego bazgroły. Ale co rusz spoglądał na kartkę, coś sprawdzał, coś odhaczał. Ochroniarze bez przerwy zanosili pakunki do limuzyny, która wolno za nimi jechała.

Rzecz jasna, nie zapomniał o prezencie dla Issy. Obok dziewczynki leżała teraz czarno– biała zebra. Sprzedawca różową nicią wyhaftował imię małej na pluszowym zwierzaku.

Issa. Tylko to ją łączyło z jej poprzednim życiem. Issa: imię nadawane zarówno chłopcom, jak i dziewczynkom. Mała zaczęła się wiercić, ale... Czy jej matka nie skłamała, czy przypadkiem nie podała nieprawdziwego imienia, chcąc wprowadzić policję w błąd?

Schyliwszy się, Mari pogładziła mięciutki policzek. Dziewczynka uniosła powieki i z ufnością popatrzyła jej w oczy. A jeśli znajdą się krewni, lecz nie pokochają małej tak, jak na to zasługuje? Mari odepchnęła od siebie tę myśl. Nie chciała, aby cokolwiek zepsuło dzisiejszy dzień. I kolejne dni. Pragnęła spędzić więcej czasu z tą słodką kruszyną. I z Rowanem.

Pragnęła więcej... Czego? Pocałunków?

Nie tylko. Wczoraj Rowan zostawił ją, bo sądził, że nie jest gotowa. Może miał rację. Ale dziś... Zastanawiała się, jak zdoła ją uwieść, skoro cały czas opiekują się Issą.

Dziesiątki pytań krążyły jej po głowie. W końcu uznała, że to bez sensu, nie będzie na siłę szukać odpowiedzi, po prostu zda się na los. Co ma być, to będzie. Może pójdą do łóżka, może nie. Tak czy owak spędzą razem dzień, na

rozmowie i na flircie, ciesząc się sobą i chemią, jaka między nimi istnieje.

Pchając wózek, radosna, podniecona przekraczała próg apartamentu, kiedy nagle Rowan uniósł rękę.

– Ktoś tu jest – oznajmił.

Zanim jeszcze zamknął usta, z kanapy poderwała się kobieta. Ki diabeł? Radosny nastrój prysł. Mari poczuła nieprzyjemne ukłucie w sercu.

– Boothe! – Elegancko ubrana rudowłosa piękność rzuciła się Rowanowi na szyję.

Nieprzyjemne ukłucie przybrało na sile, przeobrażając się w piekącą zazdrość.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rowan zaparł się mocno, by pod wpływem zderzenia z rudą torpedą nie stracić równowagi. Rozmawiał wcześniej ze swym partnerem biznesowym i jego żoną Hillary o tym, co się wydarzyło, ale zapewnił ich, że Elliot Stare ma wszystko pod kontrolą. Najwyraźniej przyjaciele mu nie uwierzyli.

Ciekawe, kto jeszcze czeka w salonie? Tak czy owak z romantycznym wieczorem we dwoje może się pożegnać.

– Hillary... – Uścisnął przyjaciółkę, po czym uwolnił się z jej objęć. – Nie myśl, że się nie cieszę z twojej wizyty, ale co tu robisz?

Poklepała go czule po policzku.

– Sam wiesz, jak szybko wieści się rozchodzą wśród członków Bractwa. Wszyscy chcą ci pomóc. – Zerknęła przez ramię na Mari z dzieckiem. – I oczywiście wszyscy umierają z ciekawości...

Mari, coraz bardziej skonfundowana, patrzyła to na jedno, to na drugie.

– Bractwa?

– Taką z kumplami szkolnymi przyjęliśmy ksywę – wyjaśnił Rowan. – Bractwo Alfa.

Nazwa powstała jako żart, poniekąd w odpowiedzi na słynne bractwa studenckie typu Kappa Delta czy Phi Omega, ale po jakimś czasie przylgnęła. I wciąż jej używali, zwłaszcza po kilku głębszych.

Hillary wyciągnęła dłoń.

– Cześć, jestem Hillary. Mój mąż to Troy Donavan, dawny kolega szkolny Rowana, a obecnie jego partner biznesowy.

Mari uniosła brwi.

– Ten... magnat komputerowy?

– Możesz to śmiało powiedzieć: haker. Robin Haker Hood – odrzekła Hillary, wchodząc z wózkiem do salonu, jakby to ona tu mieszkała.

– Nie zamierzałam... Nigdy bym...

– Naprawdę nie szkodzi. – Hillary uśmiechnęła się ciepło. – Przeszłość Troya jest powszechnie znana.

Odwzajemniejszy uśmiech, Mari pochyliła się nad wózkiem i wyjęła śpiące niemowlę.

– Przepraszam, ja...

– Rozkoszny bobas. To Issa, prawda?

– Tak. – Rowan przesunął wózek pod ścianę, by nie zawadzał. – Przeczytałaś o niej w prasie brukowej czy członkowie Bractwa o wszystkim ci powiedzieli?

Hillary rozsiadła się na skórzanej kanapie.

– Czy to ważne? Przyjechałam, bo mogę się na coś przydać. Wiesz, Mari, Troy i Rowan to nie tylko partnerzy współpracujący przy programie diagnostyki komputerowej, który tak krytykujesz. – Mrugnęła porozumiewawczo. – To również starzy przyjaciele. A mnie zostało do kupienia kilka prezentów, więc pomyślałam sobie: czemu nie tutaj?

Nagle Rowan pojał, w czym rzecz. Tak, pojawienie się Hillary ma sens. Członkowie Bractwa trzymali w tajemnicy swoją pracę dla Interpolu, ale Hillary o niej wie. Zresztą Salvatore czasem korzystał z jej pomocy. On, Rowan, też powinien był wpaść na ten pomysł, i wpadłby, gdyby nie bujał w obłokach, rozmyślając o ponętnych kształtach seksownej pani naukowiec.

Hillary może pełnić rolę dodatkowego ochroniarza. Jej obecność przy Mari nikogo nie zdziwi.

Issa zaczęła cichutko płakać. Rowan wyciągnął po nią rękę. Mari instynktownie przytuliła maleństwo mocniej.

– Daj – powiedział, zabierając dziecko. – Ja ją pokolyszę, a wy sobie porozmawiajcie.

– O rany! – Hillary roześmiała się. – Ty naprawdę umiesz zajmować się dziećmi! Nic dziwnego, że uchodzisz za jednego z najbardziej pożądanych kawalerów na świecie.

Mari wykrzywiła wargi, co nie uszło uwadze Rowana. Czyżby... cholera, chyba nie jest zazdrosna? A może... Wcześniej, gdy Hillary rzuciła mu się na szyję, miała identyczną minę. Chciał, żeby go pragnęła, ale zależało mu również na tym, by mu ufała.

– Hillary – przywołał przyjaciółkę do porządku.

– Mówiłaś, że Troy prowadzi poszukiwania przez internet...

– Tak. No dobra, sio, spadaj! Damy sobie radę bez ciebie.

Sio? Spadaj? Uniósł brwi. Został odprawiony. W porządku. Położył Isse do łóżeczka w drugim pokoju, a potem zadzwonił do Troya. I zastanowił się nad dalszym planem działania. Dziś poczynił znaczne postępy, stali się sobie z Mari zdecydowanie bliżsi. Teraz musi przekonać przyjaciół, aby pozwolili mu jeszcze bardziej rozwinąć skrzydła.

Mari usiadła na brzegu kanapy. W głowie jej się kręciło od nadmiaru wrażeń i informacji. Ledwo mogła za wszystkim nadążyć. W dodatku przyjaciółka Rowana mówiła niesamowicie szybko.

– Zaraz, poczekaj. Co powiedziałaś o poszukiwaniach przez internet?

Hillary zajęła miejsce w wiklinowym fotelu.

– Nie denerwuj się. To całkowicie legalne, przysięgam. Troy od dawna nie bywa na bakier z prawem. Tak, tak, znam niezbyt chlubną przeszłość mojego męża i podejrzewam, że ty znasz przeszłość Rowana. Ale obaj się zmienili. Starają się odpokutować dawne grzechy, naprawić wyrządzone krzywdy.

Mari zamrugnęła zdezorientowana. Jakież to krzywdy Rowan wyrządził? Komu? Owszem, trochę narozrabiał jako nastolatek, ale całe dorosłe życie prowadził rozległą działalność dobroczynną i stanowił wzór do naśladowania.

– Wiele słyszałam o jego filantropii.

– Rowan to skomplikowany człowiek.

Co do tego Mari nie miała złudzeń. Dziennikarze go uwielbiali, jego klinika pomogła setkom, a raczej tysiącom chorych. Mari żałowała jedynie, że razem, ona i on, nie mogą dojść w wielu sprawach do porozumienia. Wtedy praca Rowana przynosiłaby jeszcze lepsze rezultaty. Gdyby udało jej się rozwiązać ten problem, kto wie, ile małych szpitali by na tym skorzystało.

– Hillary, dlaczego mi o tym opowiadasz?

– Wasze sprzeczki na polu zawodowym dla nikogo nie są tajemnicą. – Hillary owinęła wokół palca rudy kosmyk, zmrużyła z namysłem oczy i przechyliła na bok głowę. – Trochę więc dziwi mnie twoja obecność.

– Jestem tu ze względu na Issę.

– Czyżby? – Hillary założyła nogę na nogę i uśmiechnęła się sceptycznie. – Można na wiele sposobów opiekować się dzieckiem. Nie trzeba od razu mieszkać razem ze współopiekunem.

Mari spięła się. Już i tak czuła się jak uboga krewna przy tej pełnej temperamentu, pewnej siebie piękności w wąskich dżinsach i fantazyjnej szerokiej koszuli. Wygładziwszy na kolanach workową sukienkę, wyprostowała dumnie ramiona. Bądź co bądź jest księżniczką.

– Dopiero się poznałyśmy, zatem nie sędzę, aby moje prywatne sprawy...

Rowan jest się ludziom|

– Słusznie, przepraszam. – Hillary uniosła rękę, na której połyskiwała

złota obrączka wysadzana brylantami. – Odkąd wyszłam za Troya, stałam się ekstrawertyczką. Po prostu chciałam ci powiedzieć, z znacznie porządniejszym człowiekiem, niż wydaje. Niż jemu samemu się wydaje.

Mari pokręciła głową. Nikt nie musiał jej mówić o wspaniałych cechach charakteru doktora Rowana Boothe'a; sama o tym wie. Boże, czuła się taka mała, taka zakompleksiona! A chciała być zmysłową czarującą uwodzicielką, której Rowan pragnie każdą komórką swego ciała. Nie dramatyzuj, skarciła się w duchu; to nie przystoi poważnej pani naukowiec.

Wróciła myślami do dzisiejszego dnia. Od rana Rowan wodził za nią wzrokiem, mimo że nie miała na sobie opiętych džinsów. Poza tym... tak, Hillary ma rację. Mogli zaopiekować się małą i wzbudzić tak potrzebne zainteresowanie prasy, mieszkając oddzielnie. Była w apartamencie Rowana, bo chciała. I on tego chciał.

Okej. Koniec z flirtowaniem. Żadnych więcej gier i podchodów. Marzyła o tym, by pójść z Rowanem do łóżka. Następnym razem, kiedy będą sami, spełni swoje pragnienie. Uwiedzie go.

Wieczorem, po kolacji z Hillary i Troyem, Rowan zamknął za gośćmi drzwi. Kątem oka widział, jak Mari idzie do jego pokoju, by położyć Issę spać.

Doceniał pomoc przyjaciół, lecz pod koniec wieczoru nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie się wyniosą. Troy z Hillary mieszkali w apartamencie po drugiej stronie korytarza, a Elliot piętro niżej.

Prawdę rzekłszy, zdziwiło go, że zjawili się tak tłumnie. Issa nie była pierwszym dzieckiem potrzebującym pomocy, które znalazł na przysłowiowej wycieraczce. Po Alej, jak wiedział, będą kolejne. Domyślał się więc, że zainteresowanie przyjaciół wzbudziła raczej Mari. Pewnie przez te wszystkie lata nie udawało mu się ukryć swojej fascynacji jej osobą.

Przyjechali kierowani zarówno ciekawością, jak i autentyczną troską o ich bezpieczeństwo. Oczywiście Mari w niczym się nie orientowała, a on nie mógł jej nic zdradzić.

Wszystkie gazety pisały o porzuconym niemowlęciu. Z powodu zbliżających się świąt w hotelu panował wzmożony ruch. Policja dostawała mnóstwo fałszywych informacji, ale żaden trop nie okazał się właściwy. Hilary z Troyem wszystko sprawdzali w bazach danych Interpolu,

Teoretycznie rozumiał, że takie rzeczy wymagają czasu i cierpliwości, ale emocje brały górę: martwił się o Issę. Z pewnością jej krewni musieli przeczytać o porzuconej dziewczynce, zobaczyć jej zdjęcie. Nawet jeśli rodzina małej się nie ujawni, może zadzwoni jakiś sąsiad albo znajomy. Może rodzicom zostaną oficjalnie odebrane prawa rodzicielskie, ale przynajmniej wtedy sprawa będzie jasna.

Doskonale wiedział, że relacje rodzinne nie zawsze układają się tak, jakby człowiek chciał. Pamiętał śmierć brata, rozpacz rodziców, własne niedowierzanie. Ogarnięty bólem skierował się w stronę barku, sięgnął po butelkę whisky i nagle ręka zawisła mu w powietrzu. Nie! Po tym, w jaki sposób zginął jego brat.

Do diabła! Nie, nie i jeszcze raz nie.

Odsunął rękę od butelki; zamiast na whisky skusił się na miejscową herbatę o smaku imbirowym. Wpatrując się w bezkresny ocean, włożył polane lukrem ciastko do ust. Jutro i on, i Mari mieli wygłosić wykład, a na weekend organizatorzy zaplanowali pożegnalną kolację oraz bal. Czas ucieka, nie ma chwili do stracenia. Na

jutro po wykładzie zamówił dla Mari wizytę w spa. Po tym szaleństwie, jakie im towarzyszyło, powinna ucieszyć się z chwili spokoju i relaksu.

– Mała śpi – oznajmiła, wyłaniając się z jego sypialni i zamykając

drzwi. – Ja naprawdę mogę ją wziąć do siebie na noc.

– Umawialiśmy się, że będziemy dyżurować na zmianę.

– Aleś ty uparty.

W srebrzystoszarej sukni opinającej ciało podeszła do barku i postawiła na blacie odbiornik. Przy nadajniku zostawiła cichutko włączone radio, z którego płynęły kolędy. W ten sposób miała pewność, że odbiornik działa.

Podobnie jak Rowan, nalała sobie herbaty imbirowej, ale do swojej dodała odrobinę mleka i miodu. Trzymając kubek oburącz, wypila połowę, po czym westchnęła ciężko. Wierzchem dłoni Rowan pogładził ją po policzku.

– Hej, wszystko w porządku?

Skinęła głową.

– Tak, po prostu nie spodziewałam się takiego zamieszania. – Odstawiła kubek na blat.

Czy mu się wydawało, czy przycisnęła policzek do jego ręki?

– Nazywasz się Mandara. Dziennikarzy interesuje wszystko, co robisz.

Prawdę mówiąc, sam był zdziwiony tak wielkim zainteresowaniem mediów.

Po tym, jak dziennikarz został ranny, gdy wdrapał się na podnośnik do mycia okien usiłował zrobić im zdjęcie, dyrekcja hotelu zablokowała wejście na ich piętro: wstęp mieli tylko oni i Donovanowie. Rowan podniósł rękę, próbując rozmasować kark.

– Nie przypuszczałam, że jest tylu wariatów...

Nawet nie domyślała się, ilu ich jest. Troy opowiedział mu o kilku ciekawych telefonach, o których policja nie wspomniała. Zadzwoiła kobieta, która przedstawiła się jako siostra przyrodnia Mari i oznajmiła, że dziecko należy do niej. Inna zadzwoniła z zakładu karnego, mówiąc, że niedawno urodziła bliźniaczki; według lekarzy jedna z dziewczynek podobno zmarła

przy porodzie, ale Issa wygląda identycznie jak jej siostrzyczka.

Oczywiście nic się nie potwierdziło, nie było więc sensu wciągać w to Mari, która jeszcze bardziej przeżywałaby całą sytuację.

– Moi ludzie wszystko dokładnie badają.

– Kim są ci twoi ludzie? Hillary i jej mąż? – Ponownie sięgnęła po kubek.

Po jego kubek. Podniosła go do ust.

– Szkoła, do której chodziłem, była prowadzona przez wojskowych. To chyba naturalne, że część chłopaków wstąpiła później do wojska lub policji.

– Ale to był taki wojskowy poprawczak. – Mari przyjrzała mu się spod rzęs.

– Owszem, ale mniej więcej połowa chłopaków trafiła tam z własnej woli, bo marzyła o karierze wojskowej,

– Opowiadał o szkole, o nauczycielach i uczniach, by tylko nie myśleć o tym, co najchętniej by zrobił, czyli wyjął kubek z jej ręki i przywarł ustami do jej ust. – A druga połowa dlatego, że wpakowała się w kłopoty.

– To twoje Bractwo Alfa... Ufasz im?

– Bezgranicznie.

Popatrzyła gdzieś w dal.

– Zazdroszczę ci. Bo ja nie wiem, komu mogę ufać, a komu nie.

– Martwisz się...

– Tak.

– To normalne. Obchodzi cię los małej.

Przywiązała się do Issy: ciągle brała ją na rękę, chciała mieć ją w nocy obok siebie, nawet gdy wypadła jego dyżur... Była zupełnie inna, niż myślał. Sprawiała wrażenie osoby chłodnej, zamkniętej w sobie, a w rzeczywistości była wrażliwa. Nagle przypomniał sobie wyraz jej twarzy, kiedy po raz

pierwszy zobaczyła Hillary. Była wtedy zazdrosna, czy miał jakieś zwidy?

– Co sądzisz o Hillary?

– Niczego nie owija w bawełnę i przepada za tobą. – Skrzyżowała ręce na piersi.

– Chyba nie jesteś zazdrosna?

– W pierwszej chwili, kiedy rzuciła ci się na szyję, przyszło mi do głowy, że to twoja dziewczyna. Ale uznałam, że nie mam prawa o to pytać.

– Skoro się całowaliśmy, to masz. – Popatrzył jej w oczy; niczego nie ukrywał. – Jestem monogamistą. Gdybym miał dziewczynę, nie całowałbym innej.

Przez moment widział w jej oczach ulgę.

– To, co się wczoraj wydarzyło między nami... – zaczęła Mari.

– Co się prawie wydarzyło.

– W porządku. Co się prawie wydarzyło. To się...

– Wiem – przerwał jej i uspokajającym gestem przycisnął jej dłoń do serca. – Chodzi ci o to, że to się więcej nie powinno powtórzyć.

– Hm. – Zmarszczywszy czoło, zaczęła się bawić zegarkiem. – Czy oprócz wielu talentów posiadasz również dar jasnowidztwa? Jeśli tak, wyjaśnij mi, dlaczego miałabym cię odtrącić?

– Bo musimy zająć się Issą. – Podniósł do ust jej dłoń. Pocałował jeden palec, drugi, potem nadgarstek.

– Twoje przywiązanie do niej zapiera dech.

– Jaki miły komplement. Właściwie mogę się odwdzięczyć identycznym.

– Tego się nie spodziewałem.

– Naprawdę? – Przysunęła się bliżej, niemal ocierając biustem o jego tors. – Dlaczego?

Serce zabiło mu szybciej. Ciekaw był, co Mari zamierza.

– No wiesz, przy każdej okazji dawałaś mi do zrozumienia, jak bardzo mnie nie lubisz.

– A zatem powinnam trzymać cię na dystans. – Oparła dłonie na jego piersi, zbliżyła twarz.

– Uczciwie ostrzegam: planuję zawrócić ci w głowie.

– Wciągnął w nozdrza zapach jej perfum i patrzył, jak policzki Mari przybierają odcień czerwieni. – Ale...

– Jesteś skomplikowanym człowiekiem – szepnęła, tuląc się do niego. – Myślałam, że cię znam, ale się myliłam. Po wczorajszym pocałunku...

– To było coś więcej niż sam pocałunek.

– Słusznie.

Zacisnął rękę na jej nadgarstku, tuż nad zegarkiem. Przypomniwał sobie bransoletki, które ukradkiem kupił na targu. Miał nadzieję, że jej się spodobają.

– Nie będziemy się kochać, Mari, dopóki mnie o to nie poprosisz.

– Wierzysz, że to zrobię, prawda?

Jej oddech pachniał imbirem. Kto by pomyślał, że herbata może mieć bardziej upajające działanie od alkoholu?

– Mam taką nadzieję.

– To dobrze. – Dotknęła ustami jego warg. – Bo właśnie proszę.

Tym razem nie zamierzał nigdzie uciekać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wspięła się na palcach i objęła go za szyję. Pulsowała pożądaniem. Odkąd podjęła decyzję, że dzisiejszą noc spędzą razem, każda minuta wydawała się godziną.

Wreszcie nastąpi ta długo wyczekiwana chwila. Wyczekiwana od lat. Bo nawet gdy się kłócili, zawsze między nimi iskrzyło.

– Musimy być cicho, żeby nie obudzić małej.

– Chwyła w zęby wargę Rowana.

– Mmm – zamruczał. – To brzmi jak wyzwanie.

– Wyzwanie? – Jej dłonie wędrowały po jego plecach, po czym wsunęły się do tylnych kieszeni džinsów.

Rowan przyjrzał się jej badawczo.

– Jesteś pewna? Na sto procent?

Zacisnęła ręce na jego biodrach. Od dawna o tym marzyła.

– Przestań być takim dżentelmenem. Składam ci propozycję. Jestem dorosła, trzeźwa i świadoma tego, co robię. Podniecasz mnie. Jak chcesz, powiem to bardziej obcesowo: weź mnie. Tu i teraz.

Na twarz Rowana wypłynął zmysłowy uśmiech.

– Dobrze, księżniczko.

Jego spojrzenie, głos i dotyk przejmowały ją dreszczem. Mówiły jej, że jest najbardziej seksowną kobietą na świecie, mówiły tak przekonująco, że w to wierzyła. Po raz pierwszy w życiu czuła się piękna i pożądana.

Mimo ich licznych sporów Rowan zawsze się jej podobał. Jego urok polegał między innymi na tym, że był kompletnie nieświadomy własnej atrakcyjności. Słońce wypaliło jasne pasemka w jego włosach, ciężka praca

wyrzeźbiła ciało. Miał też wspaniałe silne dłonie... Mari wyobraziła sobie, jak ją pieszcza.

Specjalnie włożyła dziś sukienkę z jedwabiu. Zwykle nosiła bezkształtne workowate stroje, wiedziała jednak, że bez względu na to, co ma na sobie, Rowan widzi w niej kobietę. Kobietę, której pożąda. Świadomość tego sprawiła, że przebiegły ją ciarki.

Zsunął jej z prawego ramienia sukienkę. W tle leciała jazzowa wersja osiemnastowiecznej kolędy angielskiej. Mari odchyliła głowę. Nie, nie będzie bierna. Wyciągnęła ze spodni koszulę Rowana i drżąc z niecierpliwości, cisnęła ją za siebie na kanapę. Oczy mu zapłonęły. Zsunął Mari suknię z lewego ramienia. Śliski materiał opadł na podłogę, tworząc srebrzystą kałużę u jej stóp. Mari uniosła nogę, zrzuciła szpilki, uniosła drugą... Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w opalony tors.

Rowan powiódł po niej wzrokiem, następnie opuszkami palców obrysował kontury stanika. Poczowała, jak sutki jej twardnieją. Była za daleko. Za wszelką cenę pragnęła znaleźć się w ramionach Rowana. Postąpiła krok bliżej. Emanował żarem, zupełnie jakby zmagazynował w sobie promienie afrykańskiego słońca.

– Chodźmy – szepnęła. – Na kanapę. Albo na podłogę. Nie robi mi różnicy.

– Nie, księżniczko, za długo czekałem na tę chwilę. Będziemy się kochać w łóżku, w twoim pokoju.

– Dobrze, chodźmy. – Włożywszy palec za pasek jego dżinsów, ruszyła przed siebie.

– Lubię, jak kobieta wie, czego chce.

Rozpiął jej stanik, ona rozpięła mu spodnie. Jęknął głośno, kiedy zacisnęła dłoń na jego członku.

– Cii – szepnęła. – Obudzisz Iszę.

Wsunął rękę pomiędzy jej uda, palce znalazły drogę do jej kobiecości. Mari przygryzła wargi, by nie krzyknąć z rozkoszy.

– Rowan, łóżko...

– Zaraz, zaraz. – Potarł zarostem o jej policzek, po czym dodał szeptem:

– Musimy się zabezpieczyć.

Pokręciła głową niezadowolona.

– Przecież pełno tu ochroniarzy. I w hotelu, i na zewnątrz.

Ujawszy jej twarz w dłonie, pocałował ją w czubek nosa.

– Miałem na myśli prezerwatywę.

– Aha.

No, pięknie. Zamierzała go dziś uwieść, a nawet przez sekundę nie pomyślała o ryzyku zajścia w ciążę. Najwyraźniej stan podniecenia źle wpływa na iloraz inteligencji.

– Za moment wrócę. – W rozpiętych spodniach Rowan udał się do swojej sypialni.

Odprowadziła go wzrokiem. Była nowoczesną kobietą, naukowcem twardo stąpającym po ziemi. Chciała wierzyć, że w porę by się zorient...

Wrócił, zanim dokończyła myśl, i rzucił na łóżko pudełko prezerwatyw.

– O rany. – Uśmiechnęła się. – Ambitny z ciebie człowiek. A teraz... może pozbyłbyś się spodni?

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Nie odrywając od niej oczu, zrzucił buty, potem ściągnął spodnie. Mari rozłożyła ramiona.

Położył ją na kołdrze i stosie poduszek. Zza okna dochodził szum fal zalewających brzeg. Czuła się prawie jak w niebie, tylko jednego brakowało. Po chwili bokserki wylądowały na podłodze. Nareszcie byli nadzy, całowali

się i tulili. Już nic ich nie dzieliło.

Poruszyła biodrami. Rowan przeniósł usta z jej warg na szyję, potem na obojczyk i na piersi. Odczytywał jej pragnienia, wiedział, co robić, odkrywał wrażliwe miejsca, o których ona sama nie miała dotąd pojęcia.

Wcisnęła dłoń między ich ciała i znalazła jego przyrodzenie. Wyobraźnia podsuwała jej obrazy, dziesiątki pozycji, w jakich mogliby się kochać, na stojąco, leżąc, klęcząc, używając rąk, ust, na łóżku, na dywanie, pod prysznicem. Szeptem przekazała swoje fantazje Rowanowi. Członek w jej dłoni nabrzmiał jeszcze bardziej. Mruczac coś, Rowan sięgnął po prezerwatywy. Obserwując go, Mari postanowiła, że następnym razem ona to zrobi. Następnym razem? O tak, na pewno będzie następnym razem. I następna noc.

Przyłapała się na tym, że wybiega myślą w przyszłość. Nie, lepiej skupić się na teraźniejszości, rozkoszować chwilą. Rowan podparł się na łokciach, ona zacisnęła nogi wokół jego bioder. Nad sobą widziała jego ramiona i twarz; reszta świata przestała istnieć.

– Już... – Wbiła pięty w jego pośladki. – Już dłużej nie mogę.

Szybko się z nią połączył. Odpowiadała pchnięciem na pchnięcie, jękiem na jęk. Ich ciała były mokre od potu. W pewnym momencie przekreśliła się na bok, przewróciła Rowana na wznak i usiadła na nim. Przyspieszyła. On głaskał jej brzuch, pieścił piersi. Unosiła się i opadała rytmicznie, coraz szybciej. W końcu odfrunęła. Przygryzła wargi, by powstrzymać krzyk rozkoszy. Rowan zacisnął zęby. Nie mogą przecież obudzić dziecka.

Wstrząsały nią dreszcze, fala za falą. Kiedy ustały, opadła bez sił na Rowana, który ciężko dyszał. Objął ją mocno, jakby już nigdy nie chciał jej wypuścić.

Była zmęczona, wiedziała jednak, że jeśli zamknie oczy, ranek nastanie zbyt szybko, a wraz z nim pytania i może wątpliwości. Więc zamruwała, usiłując odpędzić senność, i wbiła wzrok w barwne światła za oknem. Jachty, promy, żagłówki. Powoli odzyskiwała siłę, by spełnić kolejne swe fantazje.

Pragnęła w pełni wykorzystać ten wieczór i noc, na wypadek gdyby miały się nie powtórzyć.

– Śpisz? – usłyszał nad uchem cichy głos Mari.

Pragnął jej od lat. Wiedział, że się nie rozczaruje, nie podejrzewał jednak, że seks z nią będzie tak dojmującym przeżyciem. Spanie nie wchodziło w grę. Oszołomiony dotykiem Mari, jej zapachem i bliskością, chciał się z nią kochać do samego rana.

– Nie. A co?

Czyżby zamierzała wyrzucić go z łóżka? Z życia? Chwycił róg kołdry, która leżała pomięta wokół jego stóp, i naciągnął ją na ich nagie ciała.

Przytuliwszy się, Mari zaczęła głaskać jego tors.

– Nic. Po prostu dobrze mi.

– Mnie też. – Pocałował ją w czubek głowy. Znów mu się przypomniały bransoletki. Wciąż czekał na odpowiedni moment, aby wręczyć jej prezent.

Mari podniosła głowę i popatrzyła na niego spod rzęs.

– Nigdy nie myślałeś o tym, żeby mieć dzieci?

Przez moment nie potrafił wydobyć głosu. Idealna rodzina? Nie zasługiwał na takie szczęście. Dawno temu przez niego i jego brata niewinna kobieta straciła dziecko. Dowiedział się o tym, gdy odzyskał w szpitalu przytomność. Jakiś czas później wypadek brata, który wjechał autem w ścianę domu, do reszty pozbawił go złudzeń.

Delikatnie pogładził Mari po brzuchu. Miał inną rodzinę; należeli do

niej członkowie Bractwa oraz pacjenci. To musi mu wystarczyć.

– Mam mnóstwo dzieciaków w klinice.

– Czyli wiesz, że można kochać dzieci, z którymi nie Jest się spokrewnionym?

Do czego ona zmierza? I nagle doznał olśnienia. Zastanawia się nad możliwością zatrzymania Issy dłużej niż przez tydzień!

– Pokochałaś Issę?

– To takie dziwne? – Splotła dłonie pod brodą i utkwiała w nim oczy. – Tak sobie myślę... Może to przeznaczenie? To, że ją znalazłam? Nigdy nie chciałam wychodzić za mąż. Sądziłam, że nie będę miała dzieci; nie potrafiłam się nimi zajmować. Ale Issą potrafię, niemal od pierwszej minuty. Ona nawet reaguje na mój głos.

Miała rację. Maleństwo, którego świat został wywrócony do góry nogami, intuicyjnie wyczuwało z nią więź. Ale wkrótce uzyskają odpowiedzi dotyczące tożsamości dziecka. Hillary i Troy pracowali nad tym całe dni. Rowan westchnął w duchu. Nie chciał, by Mari niepotrzebnie robiła sobie nadzieję.

Zanim zdążył coś powiedzieć, roześmiała się smutno.

– Wiem, że Issa jest z nami dopiero od paru dni. Może znajdą się jej krewni, może będą chcieli się nią zaopiekować, może jej mama zmieni zdanie. Wszystko jest możliwe. Po prostu nie cierpię tego stanu zawieszenia.

Odgarnął jej z twarzy włosy i pocałował ją w usta.

– To nie potrwa długo, przyrzekam. – Czuł wyrzuty sumienia. To on ją namówił, ba, zmusił, by pomogła mu w opiece nad małą. – Ja i moi przyjaciele nie odpuścimy; dowiemy się, kim ona jest.

– To dobrze. Swoją drogą to niesamowite: przyjechali, o nic nie pytając.

– Na tym polega przyjaźń. Zawsze sobie pomagamy. – Tak jak on kilka

miesiący temu pomógł swojemu kumpłowi zejść się z żoną. Miał wobec Conrada dług wdzięczności, ale nie tym się kierował.

– Mimo burzliwej młodości wszyscy osiągnęliście sukces. – Na moment Mari zamilkła. – Prowadzisz wspaniałą działalność charytatywną. Twój przyjaciel Conrad Hughes jest właścicielem kasyn. Dla nikogo nie jest tajemnicą, że przekazał sporą sumę na twoją klinikę...

Rowan zacisnął zęby. Nie mógł jej nic zdradzić. Niewiele kobiet potrafi zaakceptować podwójne życie, jakie on i jego przyjaciele wiedli, współpracując z Interpolem. Mari ma dość własnych problemów. Lepiej trzymać się bezpiecznych tematów, nie pozwalając na spekulacje.

– To prawda, budowa kliniki to w dużej mierze jego zasługa. Ja zdobyłem fortunę dopiero później.

– Nie bądź taki skromny. Nawet gdybyś nie stworzył programu diagnostycznego, wszędzie mógłbyś prowadzić prywatną praktykę i zarabiać krocie, ty jednak postanowiłeś zostać w Afryce, gdzie zarabiasz grosze.

Wsunąwszy rękę pod kołdrę, pogładził Mari po pupie, chcąc ją zdekoncentrować.

– Na moje potrzeby wystarcza.

– No wiem, teraz masz miliony z programu, o który stale się spieramy. Tak łatwo byłoby go ulepszyć...

Klepnął ją lekko w pośladek.

– Naprawdę chcesz o tym teraz rozmawiać? Zaraz się pokłócimy...

– Prasa cię uwielbia. Mógłbyś to wykorzystać...

Skrzywił się. Mari oparła się łokciami o jego pierś.

– Rozumiem twoją niechęć, ale pomyśl. Byłbyś świetnym przykładem dla dzieciaków. Owszem, trafiłeś do szkoły wojskowej, ale solidnie przykładając się do nauki, dostałeś stypendium, skończyłeś studia medyczne,

wzbogaciłeś się... i teraz wszystko rozdajesz.

– Nie wszystko – mruknął niezadowolony z kierunku, w jakim rozmowa się potoczyła. Właśnie dlatego przez większość życia unikał dziennikarzy. Nie chciał, by ktoś zbyt energicznie grzebał w jego przeszłości, a już na pewno nie chciał, aby przypisywano mu wspaniałe cechy, których nie posiadał. – Gdybym wszystko rozdał, byłbym bankrutem, a wtedy nikomu na nic bym się nie przydał. Ja inwestuję swój majątek, mądrze.

– Poświęcając cały czas i energię potrzebującym.

Owszem, tak robił, by zapomnieć o poczuciu winy.

– Oj, przestań. – Zamknął Mari usta pocałunkiem.

– Po prostu spłacam stare długi, naprawiam dawne błędy.

Zmarszczyła czoło.

– Chodzi ci o ten wypadek, który spowodowałeś po pijaku? Moim zdaniem już dawno go odpokutowałeś. Mógłbyś wynająć innych lekarzy, żeby przejęli część twoich obowiązków.

– Czy można odpokutować za spowodowanie czyjejś śmierci? – spytał ostrzejszym tonem, niż zamierzał. Trudno. Skoro zaczął, musiał skończyć. – Wiesz, dlaczego trafiłem do szkoły wojskowej?

– Bo pod wpływem alkoholu spowodowałeś wypadek, w którym została ranna kobieta. Owszem, zachowałeś się nieodpowiedzialnie, ale zmieniłeś się, wiesz, całkiem inne życie, pomagasz ludziom.

– O moim programie diagnostycznym wiesz wszystko, ale o mnie jako o człowieku niewiele. – Zsunął Mari z siebie i usiadł. Oparł łokcie na kolanach, zwiesił głowę.

– Kobieta w tym drugim aucie była w ciąży. W wyniku wypadku straciła dziecko.

– O Boże! – W głosie Mari pobrzmiwał głęboki smutek. – Dla niej to

straszna tragedia, a dla ciebie potworne brzemię. – Położyła rękę na plecach Rowana.

Nie znała prawdy. Nikt jej nie znał. Rowan całe życie trzymał język za zębami, by chronić pamięć brata.

I nagle z jakiegoś powodu, którego sam nie rozumiał, postanowił się otworzyć.

– To nie ja prowadziłem.

Ręka na jego plecach znieruchomiała. Po chwili, przyciskając koldrę do piersi, Mari usiadła obok niego.

– Prasa pisała, że ty.

– Tak powiedzieliśmy policji. – Zerknął na nią spod oka. – Zeznaliśmy z bratem zgodnie, że to ja byłem kierowcą.

Przyglądała mu się uważnie, jakby nie rozumiała, co mówi. Dopiero po chwili wytrzeszczyła oczy.

– Czyli prowadził twój brat? I był pijany?

Rowan skinął głową.

– Obaj zostaliśmy ranni. Przewieziono nas nieprzytomnych do najbliższego szpitala. Miałem przebite płuco. Kiedy się obudziłem po operacji, przy moim łóżku siedziała mama. Ojciec był u mojego brata, który miał złamany nos i szczękę. Chcieli, żebyśmy ustalili wspólną wersję zdarzeń, zanim przyjdzie policja.

Przypomniawszy sobie tamtą koszmarną noc, zdezorientowanie, ból. Oraz wyrzuty sumienia, które nie znikły bez względu na to, ilu osobom uratował później życie.

– Rodzice kazali ci kłamać? – spytała z niedowierzaniem. Najwyraźniej jej matce i ojcu taki pomysł nigdy nie przyszedłby do głowy.

Większości rodziców by nie przyszedł. Miał tego świadomość, ale nie

poprawiło mu to humoru. Chciał, by Mari zrozumiała sytuację, to, że usiłując ratować brata, w sumie popełnił większy błąd.

– Tamtego wieczoru obaj sporo wypiliśmy, ale brat miał osiemnaście lat, a ja szesnaście. Byłem nieletni, kara dla mnie byłaby mniejsza, a Dylan mógł trafić do paki na wiele lat. Gdybym wziął winę na siebie, Dylan miałby szansę na normalne życie.

– I tak zrobiłeś. Rodzina naciskała, więc powiedziałeś policji, że to ty prowadziłeś. I wylądowałeś w poprawczaku. Och, Rowan... – Odgarnęła mu włosy z czoła. Ręce miała chłodne, on skórę rozpaloną. – Tak mi przykro.

Nie chciał słuchać słów pocieszenia ani współczucia, nie zasługiwał na nie. Sięgnąwszy po jej dłoń, opuścił ją niżej.

– Nie byłem bez winy. Mogłem dokonać innego wyboru: zadzwonić po taksówkę albo poprosić kogoś, kto nie pił, żeby nas odwiózł do domu. – Migające za oknem światła skojarzyły mu się ze światłami wozów policyjnych i karettek, które przyjechały, zanim stracił przytomność. – Nie prowadziłem, ale nie powstrzymałem brata, kiedy przekręcał kluczyk w stacyjce.

Dylan był człowiekiem niezwykle charyzmatycznym, obiecywał, że się zmieni i wszyscy mu wierzyli. Kiedy mówił, że świetnie sobie radzi na odwyku, że nie rusza alkoholu i chodzi na spotkania grupy, Rowan nie miał powodu wątpić w jego szczerść.

– A twój brat? Nie czuł wyrzutów sumienia? Z powodu tej kobiety w drugim aucie? Z powodu ciebie?

Mógł się tego spodziewać, Mari wszystko widzi w kolorach bieli i czerni, a życie takie nie jest. Ma mnóstwo odcieni szarości.

– Mój brat drogo zapłacił za tamten wieczór i decyzje, które podjąłem. – Gdyby na samym początku dokonał właściwego wyboru, Dylan by żył. –

Dwa lata później znów spowodował wypadek, znów pod wpływem alkoholu. Wjechał w ścianę domu. Zginął na miejscu.

– Rowan wziął głęboki oddech; śmierć brata bolała go, jakby wydarzyła się wczoraj. – Jak więc widzisz, na skutek moich błędnych decyzji dwie osoby poniosły śmierć.

Mari kucnęła przed nim. Owinięta kołdrą, potargana wyglądała niesamowicie seksownie, ale w jej spojrzeniu malowała się powaga.

– Miałeś szesnaście lat, rodzice wywarli na tobie presję, żebyś wziął winę na siebie. Poświęcili cię, żeby ratować Dylana. Nie mieli prawa. Źle postąpili.

Każde jej słowo było niczym kwas lany na świeżą ranę. Rowan wstał z łóżka. Musiał odejść, odsunąć się od Mari, jej trzeźwego osądu. Chwytał z podłogi bokserki.

– Nie słyszysz, co mówię. – Wciągnąwszy bokerski, podniósł dzinsy. – Jestem odpowiedzialny za to, co zrobiłem. Za swoje decyzje. Nie byłem małym dzieckiem. Zrzucanie winy na innych to tchórzostwo.

Najgłupsze było to, że im bardziej starał się naprawić wyrządzone przez siebie zło, tym częściej pisano o nim jak o jakimś świętym. Musiał wyjść na zewnątrz, odetchnąć świeżym powietrzem.

W ciszę wdarł się ostry dzwonek telefonu. Nie jej. Jego. Wydobywał się z odbiornika elektronicznej niani. Psiakrew! Zostawił komórkę w drugim pokoju.

– Odbiorę, zanim Issa się obudzi.

Ruszył pędem, szczęśliwy, że nie musi odpowiadać na kolejne pytania. Dlaczego nie mogli się kochać do upadłego i zapomnieć o bożym świecie?

Czuł na sobie pytające spojrzenie Mari. Wiedział, że powinien dokończyć rozmowę. I dokończy, tylko najpierw musi wziąć się w garść.

. Otworzył drzwi do swojej sypialni. Telefon leżał na bambusowej toalecie koło dziecięcego łóżeczka. Chwyciwszy aparat, wyszedł z nim do salonu. Po drodze zerknął na nazwisko na wyświetlaczu.

Troy Donovan. Przeszył go dreszcz. Przyjaciół musiał dokonać ważnego odkrycia, inaczej nie dzwoniłby w środku nocy.

Mari, owinięta cienkim beżowym prześcieradłem, pojawiła się w drzwiach.

– Co się stało?

– Jeszcze nie wiem. – Wcisnął przycisk i przyłożył aparat do ucha. –

Tak, Troy?

Na drugim końcu linii rozległ się głos Hillary.

– Rowan, to ja. Troy odkrył trop prowadzący od pracownika hotelu do szpitala na jednej z wysepek. Wciąż sprawdza dane, ale jest prawie pewien, że znalazł matkę Issy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mari chodziła ze śpiącym dzieckiem na rękach, kołysząc je po raz ostatni w życiu. Co kilka minut zerkała na słońce, które wytoczyło się na niebo. Zostało jej coraz mniej czasu z tą słodką kruszyną, którą zdążyła pokochać.

Serce pękało jej z bólu.

Wprost nie mogła uwierzyć, że będą musiały się rozstać. Zanim w pełni uświadomiła sobie, że przespała się z Rowanem, zadzwonił telefon, który wyrócił jej świat do góry nogami. Telefon z wiadomością, która miała na zawsze pozbawić ich Issy.

Troy Doňavan prześledził dziesiątki nagrań z monitoringów, sprawdził każdą informację. Wreszcie zdołał odnaleźć kobietę oddalającą się hotelowym korytarzem, tę samą, która zostawiła pod drzwiami apartamentu wózek z Issą. W pewnym momencie Mari całkiem się W tej opowieści pogubiła, ale wiedziała, że trop doprowadził do położnej, która odbierała poród. Ta zidentyfikowała matkę. Tożsamość dziecka ustalono na podstawie odcisku stopki.

Młoda mama dokładnie wszystko zaplanowała, postarała się też jak najlepiej zatrzeć za sobą ślady. Najpierw dowiedziała się, kiedy Rowan przyjedzie na konferencję, następnie zatrudniła się w hotelu, kiedy przyjmowano pracowników na okres świąteczny.

Zaraz po porzuceniu córki kobieta przeżyła załamanie nerwowe. Obecnie przebywała w szpitalu. Issa nie miała babci i dziadka, miała za to ciotkę i wujka. Ludzie ci, około pięćdziesięciokilkuletni, odchowali czterech synów, ale ani chwili się nie wahali przed przyjęciem do siebie dziewczynki.

Jako właściciele galerii sztuki może nie zarabiali kokosów, ale ich życie zawodowe i osobiste cechowały spokój i harmonia.

Wszystko wskazywało na to, że Issa będzie przez nich kochana i rozpieszczana. Mari powinna skakać z radości. Tyle sierot w Afryce jest zdanych na siebie i opiekę państwa, a Issa ma ciotkę, wuja, kuzynów.

Mimo to czuła bolesny ucisk w sercu na myśl o tym, że wkrótce będzie musiała oddać maleństwo.

Kiedy drzwi się otworzyły, poderwała nerwowo głowę i mocniej przytuliła niemowlę. Do środka wszedł Rowan. Oczy miał podkrążone. Po telefonie od Donavana żadne z nich nie było w stanie zasnąć. Ubrany był w te same dżinsy i koszulę, które wczoraj z niego ściągnęła. Miała wrażenie, że to było wieki temu.

– Są jakieś nowe wiadomości? – zapytała.

Czuła się paskudnie, bo nie chciała oddać Issy. Oczywiście nie byłaby w stanie opiekować się dzieckiem na co dzień. Zresztą wcześniej nawet nie myślała o byciu matką. Ale teraz... teraz nie potrafiła myśleć o czymkolwiek innym. Nigdy nie przypuszczała, że taka mała istotka może zapełnić pustkę. Pustkę, z której nawet nie zdawała sobie sprawy.

Rowan potrząsnął głową i przysiadł na oparciu kanapy.

– Nie, tylko potwierdzenie tego, co już wiemy. Ojciec Issy faktycznie był żołnierzem i zginął, a matka została zatrudniona w hotelu tymczasowo, na okres świąteczny, dlatego nie figurowała na liście pracowników. To ta kobieta, którą widziałas na korytarzu. Miała depresję poporodową, na to nałożyła się śmierć męża...

Informacja o depresji pojawiła się dopiero teraz. Zdaniem Mari, to trochę komplikowało sprawę, bo oznaczało, że matka nie porzuciła dziecka z pobudek egoistycznych, ale z powodu choroby wymagającej leczenia.

– Czyli Issa wylądowała pod twoimi drzwiami na skutek depresji poporodowej jej matki?

– W Stanach jedna na osiem kobiet na to cierpi. – Rowan zacisnął palce na nosie, jakby usiłował powstrzymać narastający ból głowy. – Tutaj więcej, zważywszy na ubóstwo i brak opieki medycznej.

Mari ponownie przytuliła owinięte w kocyk niemowlę. Czy to by cokolwiek zmieniło, gdyby matka Issy miała większe oparcie w rodzinie? A może krewni o niczym nie wiedzieli? Setki pytań cisnęły się jej do głowy, pytań bez odpowiedzi. W końcu zrozumiała, że na siłę szuka winnego, usiłuje znaleźć powód, dlaczego nie powinna oddawać Issy. Dziewczynka zaczęła się budzić.

– No cóż, pewnie trzeba być wdzięcznym, że nie wy– rządziła dziecku krzywdy. Co teraz?

– Teraz Issą zajmą się jej krewni – stwierdził Rowan.

– A gdzie byli, kiedy matka Issy potrzebowała pomocy? – spytała Mari. Rowan ujął stopkę ukrytą w czerwonych śpioszkach.

– Ciotka z wujem twierdzą, że oferowali pomoc, ale nie zdawali sobie sprawy z powagi sytuacji.

– Myślisz, że mówią prawdę?

– Mieszkają daleko, mogli przegapić oznaki depresji. Bądź co bądź od narodzin Issy minęły zaledwie trzy miesiące. – Pogładził niemowlę po buzi, po czym dźwignął się na nogi i zaczął krążyć po salonie. – Sześć tygodni temu byli tu na pogrzebie, zostawili pieniądze, potem kilka razy dzwonili dowiedzieć się, co i jak. Usłyszeli, że wszystko w porządku.

– I uwierzyli? – Mari westchnęła cicho. Rozpaczliwie szukała czegoś, do czego można by się przyczepić, co by świadczyło o tym, że ciotka z wujem nie nadają się na opiekunów tego słodkiego aniołka.

– Z naszych informacji wynika, że to mili serdeczni ludzie o stabilnej pozycji finansowej. – Przystanąwszy przy oknie, Rowan oparł się czołem o szybę. – Chcą oficjalnie wystąpić o opiekę i nie widzę powodu, aby sąd im odmówił.

– A my? Co ty byś chciał, Rowan?

– Nie mamy do Issy żadnych praw – odparł. – Sądzę, że to najlepsze rozwiązanie z możliwych. Pierwsze – go wieczoru, kiedy rozmawialiśmy z policją, nawet nie przypuszczaliśmy, że wszystko skończy się tak dobrze.

– Wiem. Po prostu...

Obrócił się i skrzyżował ręce na piersi.

– Pokochałaś ją.

– Przejmuję się jej losem.

Po jego wargach przebiegł smutny uśmiech.

– Pokochałaś..

Mari wzruszyła ramionami.

– Znamy się tylko kilka dni.

– Jako lekarz stale mam kontakt z młodymi matkami. I wiem, jak szybko rodzi się miłość do dziecka.

Co próbował osiągnąć? Czują się tak, jakby dźgał ją ostrym nożem.

– Nie jestem jej matką.

– Ale byłaś. Robiłaś wszystko, co robi matka, która chroni dziecko. Nic dziwnego, że chcesz Issę zatrzymać.

Na moment wzruszenie odebrało Mari mowę.

– Nie byłabym w stanie opiekować się dzieckiem – rzekła po chwili. – A Issa ma krewnych, którzy pragną otoczyć ją miłością.

– Twoja postawa jest godna podziwu: kierujesz się dobrem Issy. – Podszedł i pogładził ją czule po twarzy.

- Próbujesz mi się podlizać?
- Masz mnie za manipulatora? – Puścił do niej oko.
- Boże, nie chcę płakać.
- Czasem płacz pomaga.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Po prostu posiedzę z małą, pośpiewam jej jakieś kołysanki albo kolędy, dopóki rodzina po nią nie przyjedzie. Wiem, że Issa o mnie zapomni, ale...

Rozległ się dzwonek do drzwi. Po chwili do salonu wkroczyła Hillary, a za nią Troy. Mari westchnęła w duchu: to nie krewni Issy.

– Są w drodze na górę – oznajmiła Hillary, uśmiechając się łagodnie. – Pomyślałam, że was uprzedzę.

– Dzięki, że ich odszukaliście.

Troy usiadł na kanapie obok żony i objął ją ramieniem.

– Cieszę się, że udało nam się tak szybko.

Szybko? – pomyślała Mari. Miała wrażenie, jakby spędziła pół życia z Rowanem i Issą.

Hillary przysunęła się bliżej męża.

– Mari, czy Rowan ci mówił, co nam najbardziej pomogło? Otóż ogromne zainteresowanie mediów twoją osobą.

– Tak? – Może mówił, nie pamiętała. Żyła jak we mgle.

– Tak. Zgłosiła się do nas pielęgniarka. Jej opowieść brzmiała wiarygodnie. Pokazaliśmy jej portret kobiety oddalającej się korytarzem wykonany na podstawie ujęć z różnych kamer – referowała Hillary. – Pielęgniarka rozpoznała na rysunku pacjentkę, której asystowała przy porodzie. Gdyby nie wasze oświadczenie dla prasy, pielęgniarka nie dowiedziałaby się o porzuconym dziecku. To wszystko twoja zasługa, Mari.

– Oraz Rowana. I wasza. Rowan to szczęściarz, że ma takich przyjaciół.

Powiedziawszy to, nagle sobie uświadomiła, że ona sama nie ma ani jednej osoby, do której mogłaby się zwrócić w potrzebie. Większość czasu spędzała w laboratorium. Uciekała nie tylko od przedstawicieli mediów również od poważnych związków. Żyła pracą, z dala od karcących spojrzeń rodziców – ojca, który chciał, by zaakceptowała swą rolę księżniczki, i matki, która zachęcała ją do buntu, do szaleństwa i podróży. Zawiodła ich oboje. Rowan i Issa byli pierwszymi ludźmi, z którymi czuła silną więź.

Dlatego tak ciężko jej było na myśl, że będzie musiała się z nimi pożegnać. Nie chciała doświadczać tego bólu. Chciała odzyskać swój bezpieczny świat, wrócić do cichego laboratorium, gdzie panuje ład, gdzie wszystko jest proste i przewidywalne.

Ponownie zadzwonił dzwonek. Mari przygryzła wargę, by krzykiem nie wyrazić sprzeciwu. Spokojnie, nakazała sobie w duchu, masz zachować zimną krew. Tak, będzie opanowana; nie zrobi nic, co by mogło wystraszyć Issę.

Rowan patrzył bezradnie, jak Mari przekazuje dziecko jego opiekunom, których wcześniej prześwietlił na wylot, by upewnić się, czy Issa będzie z nimi bezpieczna. Niezliczoną ilość razy pomagał umieścić sieroty w nowych domach. Zawsze był ostrożny i miał świadomość odpowiedzialności, jaka na nim ciąży.

W wypadku małej Issy ciążyła ogromnie.

Przeniósł spojrzenie na rodzinę Issy. Było to małżeństwo w wieku pięćdziesięciu kilku lat; on miał na sobie elegancki płócienny garnitur, ona kolorową sukienkę i fantazyjnie zawiązaną chustę. Kobieta wzięła dziecko od Mari, jej mąż sięgnął po torbę z pieluchami.

Mari stała, wykręcając palce. Z trudem powstrzymywała się, by nie

zabrać Issy z powrotem.

– Lubi, jak się ją przytula, ale tak, żeby mogła widzieć, co się wkoło dzieje. A co do karmienia... Trzeba podawać jej mleko często, ale niedużo, bo inaczej wszystko zwraca. Aha, uwielbia muzykę... – Głos się jej załamał.

Kobieta położyła rękę na jej ramieniu.

– Dziękuję za troskliwą opiekę nad Issą. Gdybyśmy wiedzieli, co nasza siostrzenica zamierza, od razu byśmy zaproponowali, że weźmiemy małą do siebie. Ale zapewniała nas, że wszystko jest w porządku. Nie przyszło nam do głowy, że... W każdym razie obiecuję, że Issie nie zabraknie u nas ciepła i miłości. Będziemy jej opowiadać, że Wasza Wysokość była jej aniołem stróżem...

Łzy napłynęły Mari do oczu. Skinęła głową.

– Żona i ja odprowadzimy państwa do samochodu

– oznajmił Troy. – Tylnym wyjściem, bo inaczej dziennikarze was nie puszcza.

Skierował nowych opiekunów Issy do drzwi, szybko i sprawnie, zanim komukolwiek miało szansę pęknąć serce. Rowan po raz ostatni rzucił okiem na pyzată twarzyczkę, przełknął ślinę, po czym podszedł do Mari. Ona najbardziej potrzebowała jego pomocy.

Ledwo towarzystwo znikło za drzwiami, osunęła się na fotel bujany i zgięła w pól, usiłując nabrać powietrza.

– Rowan, ja chyba... chyba nie dam rady wygłosić, po południu wykładu.

Doskonale ją rozumiał. Schyliwszy się, objął ją czule:

– Zadzwońię do organizatorów i powiem, że się rozchorowałaś.

– Nigdy nie choruję. – Popatrzyła na niego zdziwiona. Oczy miała lśniące od łez. – Co mi jest?

– Cierpisz. Przeżywasz coś w rodzaju żałoby. – Sam też cierpiał z powodu rozstania z Issą. Może dlatego, że miała w sobie coś wyjątkowego. Może dlatego, że dzięki niej zbliżył się do Mari. A może dlatego, że dziewczynka zwyczajnie w świecie podbiła jego serce.

– Ale Issa była z nami zaledwie kilka dni. W dodatku nie jest moim dzieckiem... – Mari przycisnęła rękę do serca i potarła niewidoczną ranę. – Nie powinnam tak rozpaczać.

– Kochałaś ją, nadal kochasz. – Kucnął przed fotelem i delikatnie pogładził ją po twarzy. – To jest jasne dla każdego, kto was widział razem.

– Nie... – Zamrugła, usiłując powstrzymać łzy. – Nie chcę o tym myśleć. Nie chcę czuć tego bólu i tej pustki. Chcę... potrzebuję.

Nie dokończyła. Wyciągnęła rękę, chwyciła Rowana za koszulę i go pchnęła. Upadł na miękki dywan, ona opadła na niego. Z furją przywarła ustami do jego ust. Pocałunki stanowiły ujście dla smutku. Rowan odwzajemniał je gorąco. On też musiał dać upust frustracji.

Wyczuwając jego podniecenie, Mari potarła biodrami o jego biodra. Już nie musieli być cicho, nie musieli uważać na śpiące dziecko. Poza nimi nie było nikogo w apartamencie. Za pierwszym razem pilnowali się, by nie obudzić Issy. Dziś nie musieli się kontrolować.

Rowan opróżnił umysł z wszelkich myśli i skupił się na Mari, na dostarczaniu jej przyjemności. Ostrożnie podciągnął jej sukienkę, zacisnął ręce na biodrach. Przez chwilę poruszali się rytmicznie, potem Mari usiadła na nim i jednym szarpnięciem rozpięła mu koszulę. Kilka guzików poleciało na dywan. Rowan zdarł z niej sukienkę; została w cieniutkim pistacjowym staniku i figach. Lubiała delikatną bieliznę, a on lubił ją jej pozbawiać. Odpiąwszy stanik, rzucił go na blat baru, potem chwycił za wąski skrawek fig. Ich też się pozbył.

Przykładając dłonie do policzków kochanka, Mari przyciągnęła jego twarz do piersi. Podobało mu się, że nim kieruje, że nie wstydzi się pokazać, czego pragnie. Zacisnął wargi na jej sutkach. Jej jęki i urywany oddech działały niesamowicie podniecająco. Przysiadłszy na piętach, Mari rozpięła mu rozporek.

– Prezerwatywa... – mruknął. – W tylnej...

Uniósł biodra. Wsunęła pod niego ręce, po chwili wydobyla opakowanie. Jak to dobrze, że schował jedno do kieszeni, na wszelki wypadek. Bo gdyby miał teraz szukać u siebie w pokoju...

Poczuł, jak Mari nasuwa mu gumkę, a następnie wprowadza go w siebie. Już po chwili pędzili, szybko, coraz szybciej. Spoceni, zdyszani, mknęli na oślep, usiłując zapomnieć o pustce.

Orgazm się zbliżał, był jak fala, której nie sposób zatrzymać. Rowan zacisnął zęby. Patrząc na Mari, zorientował się, że ona też jest blisko. Wykonał jeszcze jedno pchnięcie i nagle to już nie była fala, lecz tsunami.

Pochwycił Mari w objęcia. Trzymał ją mocno, by nie odpłynęła. Serce waliło jej jak oszalałe.

Rozpaleni leżeli bez słowa, delektując się sobą. Rowan uśmiechnął się pod nosem. Chętnie znów by się z nią kochał, potrzebował jednak dłuższej przerwy. Chyba że... Położył Mari na wznak, wyciągnął się obok niej i zaczął obsypywać ją pocałunkami. Najpierw całował jej usta, potem brodę, ucho, szyję. Pachniała kwiatami. Wolno przesunął się niżej, wodził językiem po piersiach...

– Rowan...

– Cii... – Podmuchał leciutko na brodawkę. Ciemny czubeczek jeszcze bardziej stwardniał.

Pokrywał pocałunkami jej ciało: żebra, pępek, brzuch, rozsunął nogi,

pieścił uda. Mari mruzczała z rozkoszy. Wsłuchując się w melodyjne jęki, Rowan zbliżył twarz do jej łona. Językiem naciskał łechtaczkę, raz mocniej, raz słabiej. Nad głową słyszał błagalny szept, by nie przestawał. Nie zamierzał. Była jego. Wsunął dłonie pod jej pośladki. Doprowadzał Mari na skraj przepaści, zastygał na moment w bezruchu i znów przystępował do pieszczot. Wiedział, co robi. Mari coraz głośniejsze wołała jego imię. I raptem wstrząsnął nią orgazm. Wyrzuciła w bok ramiona, strącając lampkę ze stolika. Wieczorny wiaterek owiewał ich rozgrzane ciała. Zaraz nastąpi powrót do rzeczywistości.

Był tylko jeden sposób, by temu zapobiec i uciec od własnych myśli: kochać się tak długo, dopóki oboje nie padną z wyczerpania. Rowan kucnął, wsunął ręce pod pachy Mari i wstał, tuląc ją do siebie. Objęła go za szyję. Wciąż ciężko dyszała. W rozpiętych dżinsach skierował się w stronę swojej sypialni. Cholera, nawet nie zdążył ściągnąć spodni!

Położył Mari na łóżku. Na widok jej ciała poczuł, jak członek znów mu twardnieje. Była jego światem, jego ratunkiem przed bólem. Nie potrafił sobie wyobrazić jutrzejszego dnia. Zbliżyli się dzięki Issie. Bez Issy wszystko będzie inaczej.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Spędziła noc w ramionach Rowana. Kiedy poranne promienie słońca zaczęły przedzierać się przez żaluzje i zalewać blaskiem pokój, Rowan zaproponował, by wyjechali na jeden dzień, uciekli od wspomnień. Natychmiast się zgodziła.

Teraz, wyciągnięta w dziobie łodzi, wpatrywała się w bezchmurne niebo, a nad jej głową fruwały mewy, leniwie poruszając skrzydłami. Fale lekko uderzały o kadłub. Rowan wynajął luksusowy dziesięciometrowej długości jacht, którym płynęli na jakiś bezludny brzeg. Gdzieś, gdzie nie będzie dziennikarzy z aparatami. Gdzieś, gdzie będą mogli leżeć do góry brzuchem, gapić się na turkusową wodę, obserwować ryby i ogromne żółwie.

Potrzebowała tego: ucieczki i relaksu. W ciągu tych kilku dni, kiedy opiekowała się Issą, uświadomiła sobie, czego brakuje w jej życiu. Miłości. Rodziny. Wcześniej! od rana do nocy przesiadywała w laboratorium, w świecie, który rozumiała i w którym czuła się dobrze. Dopiero mała bezbronna dziewczynka uzmysłowiła jej, co traci, poświęcając się wyłącznie pracy.

Ale jak ma temu wszystkiemu zaradzić? Skierowała wzrok na Rowana, którego rozpięta koszula łopotała na wietrze. Wczoraj kochali się namiętnie, aż oboje padli z wyczerpania. Rano obudzili się, zamówili śniadanie i znów się kochali. Miała wrażenie, że Rowan czuje się równie wypalony i zagubiony jak ona.

Po śniadaniu powiedział, że spędzą dzień na wodzie. Ucieszyła się i o nic więcej nie pytała. Włożyła sarong, ciemne okulary oraz szal na głowę. Rowan zaskoczył ją, wręczając jej prezent: bransoletki, które tak długo oglą-

dała, kiedy pierwszego wieczoru wyszli na spacer z Issą. Wyciągnęła rękę, patrząc, jak słońce odbija się od srebrnych kółek ozdobionych barwnymi koralikami.

Jacht ciął fale, kierując się w stronę widocznej w oddali pustej zatoczki otoczonej górami. Zostawili za sobą jedną wyspę, płynęli ku drugiej. Gdyby ból w sercu również dawało się tak łatwo zostawić...

Przekręciła się na brzuch i podpierając brodę na dłoniach, spoglądała to na skały wystające z wody, to na głuptaki i burzyki, które nurkowały po pożywienie. Wzdłuż wysepki ciągnęła się biała piaszczysta plaża, dalej rosły palmy. Spokój, cisza, wprost idylla. W dzieciństwie w podobnych miejscach spędzała wakacje z rodzicami.

Nagle padł na nią cień. Przewróciła się na bok i zasłaniając oczy przed słońcem, popatrzyła na Rowana.

W szortach, w rozpiętej koszuli, z włosami potarganymi przez wiatr był nieziemsko seksowny.

– Nie powinieneś stać u steru?

– Opuściłem kotwicę. Chodź, napijemy się czegoś...

Chwyciwszy wyciągniętą dłoń, wstała i ruszyła bosą po ciepłym drewnianym pokładzie.

– Nie musiałeś ukrywać przede mną celu naszej wyprawy...

– Chciałem, żebyś miała niespodziankę.

Zeszli po paru schodkach na niższy pokład. Na siedzisku, między dwiema poduchami, stały dwie szklanki oraz dzbanek z sokiem mangowym.

– To jedyny powód?

– Uważałem, że należy nam się odpoczynek. – Rowan podał jej szklankę i wskazał fotel za sterem. – A tobie, moja śliczna, chwila przyjemności.

Usiadłszy, pociągnęła łyk soku.

– Praca dostarcza mi ich mnóstwo.

Rowan nic nie powiedział, jedynie uniósł powątpiewająco brwi.

– Okej, może nie dostarcza przyjemności, ale na pewno przynosi wiele satysfakcji. I nie sądzę, abym była spięta, kiedy mnie wczoraj posadziłeś na barze.

– Fakt. No dobrze, więc chciałem, żebyś się odprężyła i dała uwieść. – Zmarszczył czoło, jakby intensywnie nad czymś myślał. – Nie, zaraz! Przecież już cię uwiodłem!

– A może to ja uwiodłam ciebie?

Zdjęła z nosa okulary, po czym zabrała okulary Rowana. Ruchom jej ręki towarzyszyło pobrzękiwanie bransoletek. Pochyliwszy się, przywarła ustami do jego warg. Woląa skupić się na pocałunkach niż na pytaniach, które krążyły jej po głowie. Na przykład :co z nimi będzie po zakończeniu konferencji? Ponieważ jednak sama nie wiedziała, na czym jej zależy, nie chciała o to pytać Rowaną.

– Więc czyja teraz kolej na przejęcie inicjatywy? – Wyjął jej szklankę z ręki.

– Hm, nie wiem. – Podejmując grę, rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie. – Straciłam rachubę.

– To dobrze. – Poglądził ją po twarzy, po czym ściągnął jej chustkę z głowy.

– Tak? – Opuszką palca przesunęła po jego wargach.

– Jesteś taka ponętna, tajemnicza... – Chwycił w usta jej palec, zanim zdążyła go cofnąć.

– Tajemnicza? – Uśmiechnęła się. – Zawsze uważałam się za szczerą i prostolinijną. Dla niektórych to synonim osoby nieciekawej, nieatrakcyjnej.

Po prostu nudziary.

Niebieskie oczy Rowana pociemniały.

– Ktoś cię nazwał nudziarą? Kto? Zaraz mu...

Pobrzękując bransoletkami, zakryła mu ręką usta.

– Nikogo nie będziesz bił. – Opuściła rękę. – Wiesz, w szkole właściwie nie miałam przyjaciół. Odstawałam zarówno pochodzeniem, jak i ilorazem inteligencji. Niektórzy próbowali mi się przypodobać z powodu mojej rodziny. Dzieciakom trudno było dojrzeć w księżniczce normalną Mari.

– Ja też z początku odstawałem – odrzekł.

Utkwiła wzrok w błękitnej wodzie.

– Nie musisz mnie pocieszać. Jestem, jaka jestem. I nie zamierzam się zmieniać.

– Wcale nie pocieszam. – Oparł brodę na jej głowie

– Naprawdę odstawałem. Byliśmy bandą popaprańców łobuzów, złodziejasków. Na szczęście dyrektor umiejętnie nami pokierował, pomógł nam wyjść na ludzi.

– Wszystkim wam się udało?

Na moment Rowan zastygł w bezruchu.

– Niestety nie. Niektórym trudno było wyplenić złe nawyki. – Westchnął ciężko. – Niedawno gazety pisał; o Malcolmie Douglassie. Może czytałaś? Pogubił się, za pomniął o zasadach, które wpajał nam dyrektor.

– Ten Malcolm to twój przyjaciel, członek Bractwa?

– Tak, chociaż inni są mi bliżsi. – Kładąc ręce na ramionach Mari, obrócił ją do siebie. – Nie jesteśmy idealni, żaden z nas, ale zawsze, w każdej sytuacji, możemy na sobie polegać.

– I się wspierać. Tak jak twój kumpel od kasyna wsparł ciebie.

O ile Mari wolała żyć jak odludek, zamknięta w laboratorium, on wprost

przeciwnie: otaczał się ludźmi.

– To prawda. Swoją drogą, Conrad w niczym nie przypomina siebie ze szkolnych zdjęć. Wtedy był piekielnie inteligentnym chudym okularnikiem. Nazywaliśmy go Wilkiem z Wall Street. Posługując się swoim funduszem powierniczym, manipulował rynkiem giełdowym, żeby ukarać wyzyskiwaczy.

– Może byliście bandą popaprańców, ale mieliście silne poczucie sprawiedliwości. I co, tam, w szkoli wojskowej, zaprzyjaźniliście się?

– Z początku różnie bywało, nie każdy z każdym się dogadywał. Ja odstawałem od reszty. Nie pochodziłem, jak większość, z bogatego domu ani nie byłem tak utalentowany jak Malcolm. Zadzierałem nosa, wydawało mi się, że jestem lepszy od tych uprzywilejowanych chłoptasiów.

– Jednak czymś musiałeś zaimponować Conradowi, skoro później zainwestował w klinikę.

– Coś ci zdradzę. – Roześmiał się. – Swoją obecną pozycję zawdzięczam ciastkom.

– Ciastkom?

– Tak. Mama przysyłała mi paczki, a w nich pieczone przez siebie ciastka z masłem orzechowym i czekoladowymi drażetkami. – Na jego twarzy pojawił się wyraz zadumy.

Ta sama mama, pomyślała Mari, przez którą trafił do szkoły wojskowej. Ta sama, która go zdradziła, która młodszemu synowi kazała wziąć na siebie winę starszego. Ciekawe, co czuł, jedząc te jej ciasteczka. Mari ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć czegoś brzydkiego.

– Któregoś dnia siedziałem na pryczy. Jedząc ciastka, odrabiałem lekcje z biologii – kontynuował Rowan, bawiąc się kosmykiem jej włosów. – Nagle zobaczyłem, że Conrad wpatruje się w te ciastka, jakby to były grzanki z

kawiozem. Wiedziałem, że jeśli go poczęstuję, to odmówi, unosząc się honorem.

Mari przyłożyła głowę do jego piersi.

– W owym czasie byliśmy wszyscy zbuntowani, źli na cały świat. Ja dodatkowo miałem straszne poczucie winy za to, co zrobiłem. Ciastka i listy od mamy pomagały mi przetrwać ten trudny okres.

Ty nic nie zrobiłeś, zaprotestowała w duchu Mari. Winni byli rodzice, brat. Dlaczego tego nie widział?

– Ale wracając do Conrada. Mniej więcej tydzień później, idąc do stołówki, zauważyłem go z ojcem w sali odwiedzin. Poczulem zazdrość; moich rodziców nie stać było na bilet, żeby przylecieć do mnie z wizytą. I raptem zorientowałem się, że Conrad i jego ojciec się kłócą.

– O co im poszło? – Ciekawa była jego przeszłości, osób i wydarzeń, które go ukształtowały.

– Ojciec chciał, aby Conrad przekonał rodziców Troya do ulokowania pieniędzy w jakimś lewym interesie czy nieistniejącej firmie. Conrad się sprzeciwił, rzucił się na ojca z pięściami. Dwóch strażników musiało ich rozdzielać.

Słuchając o tym, co przeżył nastoletni Rowan i jego przyjaciele, Mari zrobiło się głupio: jakim prawem narzekała na swój los? Czymże były jej smutki i poczucie osamotnienia w porównaniu z ich problemami? Miała dwoje rodziców, którzy ją kochali, dwa domy, i tak, musiała podróżować między jednym a drugim, ale podróżowała luksusowo, pierwszą klasą.

– A te ciastka?

– Zaraz do nich dojdę – odrzekł, przesuwając bezwiednie dłoń po jej nagim ramieniu. – Conrad spędził kilka dni w szpitalu. Podczas bójki ojciec zwichnął mu bark. Policja nie zatrzymała ojca, bo syn uderzył ojca pierwszy.

W każdym razie kiedy wrócił ze szpitala, zostawiłem mu na pryczy owinięte w serwetkę ciastko. Nic nie powiedział, ale i nie wyrzucił ciastka, a po latach wpłacił pieniądze na moją klinikę.

Mari poczuła bolesne ukłucie w piersi.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz? – spytała cicho.

– Nie wiem. Może żebyś zrozumiała, jak ważna jest dla mnie praca i dlaczego nie mógłbym zatrzymać Issy, nawet gdybyśmy nie odnaleźli jej krewnych? W klinice ciągle leczę osierocone dzieci. Gdybym każde chciał adoptować... – Zamilkł. – Ta klinika jest dla mnie wszystkim. Pomaga mi zappełnić pustkę po śmierci Dylana, odpokutować za grzechy.

Uświadomiła sobie, że mimo wielu przyjaciół Rowan jest człowiekiem samotnym. Toczy nieustającą walkę z samym sobą. Objęła go i przytknęła usta do jego warg.

– Chcę cię – szepnęła między jednym pocałunkiem a drugim. – Teraz. – Z jego kieszeni wyjęła prezerwatywę.

Rozwarł kolanem jej uda. Oboje byli gotowi. Zacisnęła nogi wokół jego pasa. Wszedł w nią. Patrzył na jej długą szyję, odrzuconą w tył głowę, powiewające włosy, wypięty biust. Łódź kołysała się wraz z nimi, ich jęk i krzyk spełnienia niósł się na wietrze.

W tym momencie, wstrząsana dreszczem orgazmu, Mari poczuła z Rowanem coś znacznie głębszego od zwykłej bliskości fizycznej. Oboje byli samotnikami i żadne z nich nie było w stanie tego zmienić.

Co za ironia losu, że ona, która, jak to sobie właśnie uświadomiła, poświęciła zbyt wiele dla pracy, zakochała się w mężczyźnie, który dla swojej pracy gotów był poświęcić wszystko.

Nazajutrz rano, otwierając drzwi do apartamentu, Rowan wciąż czuł na skórze słony smak oceanu. Miał nadzieję, iż powrót do rzeczywistości nie

sprawi, że Mari na nowo pograży się w rozpacz. Jednodniowa wyprawa, na którą ją zabrał, by nie myślała o Issie, uzmysłowiła mu, czego sam pragnie: dzielić życie z tą wspaniałą kobietą. Oby tylko ona pragnęła dzielić je z nim.

Obejmując ją lekko w pasie, wszedł do środka i nagle stanął w pół kroku. Wszystkie zmysły mu się wyostrzyły. Ktoś tu był. Psiakość, panował tu ruch jak na dworcu. Oczywiście domyślił się, że niespodziewanym gościem może być tylko któryś z jego przyjaciół.

Z kanapy podniósł się Elliot Stare. Mari wciągnęła głośno powietrze, czyli rozpoznała światowej sławy kierowcę wyścigowego, który występował w reklamie męskiej bielizny.

Rowan zaklął w duchu.

– Witaj, Elliot. Czyżbyś został wysiudany ze swojego pokoju?

Ignorując pytanie przyjaciela, Elliot skłonił się Mari.

– Księżniczko, to dla mnie prawdziwy zaszczyt...

– Pan Starc! Pan też jest przyjacielem Rowana z Bractwa?

– Mówił o nim Waszej Wysokości?

– Tak – odparł Rowan. – Rozmawiamy z sobą. – I nie tylko, dodał w myślach.

– Proszę mi mówić po imieniu – wtrąciła Mari.

– Dziękuję, Księż... Mariamo. Swoją drogą jak to dobrze, że dziecko trafiło do apartamentu Rowana. I że nasi znajomi z Interpolu ze wszystkim się tak sprawnie uporali.

Znajomi z Interpolu. Rowan znów zaklął w duchu. Mari zmrużyła oczy.

– Dlatego tu wpadłem – ciągnął Elliot. – Żeby się pożegnać. Wysłałem mejlem raport, a teraz wracam do treningów.

Rowan zmusił się do uśmiechu.

– W porządku. Dzięki, stary.

– Interpolu? – zapytała Mari.

Elliot zerknął pytająco na Rowana.

– Mówiłeś, że ona wie...

– Wie, że chodziliśmy razem do szkoły. Że należeliśmy do Bractwa Alfa. – Rowan potrząsnął głową. Ufał Mari; nie miał cienia wątpliwości, że nie zdradzi jego tajemnicy. Ale informacja, którą przed chwilą usłyszała, nie była jej do niczego potrzebna. – Jak na inteligentnego człowieka zbyt pochośnie wyciągasz wnioski.

Elliot podrapał się po swojej ogolonej głowie.

– Myślałem... – Wzruszył ramionami i obróciwszy się na pięcie, skierował się do drzwi.

– Pracujesz dla Interpolu? – Mari usiadła na kanapie.

Rowan kucnął przed nią.

– Jestem lekarzem. To mój zawód, moja misja. Ale tak, czasem pomagam ludziom z Interpolu. Jako wolny strzelec. Nie wzbudzając podejrzeń, mogę bywać na imprezach dobroczynnych i podróżować do odległych zakątków świata. – Widział, jak Mari się zamyka, wycofuje w głąb siebie. – Mari?

– Rozumiem. To twoja praca.

– Jesteś zła, że ci nie powiedziałem?

– Dlaczego miałbyś mówić? Trudno każdego wtajemniczać. Twój przyjaciel uznał, że... Nieważne. Zapewniam cię, że nikomu nic nie powiem. Wiem, jak to jest, kiedy człowiek kocha pracę.

Siedziała wyprostowana, mówiła spokojnie, lecz wiało od niej chłodem.

– Mari, nic się między nami nie musi zmienić. Możemy współpracować... – Urwał. W jej oczach pojawił się dziwny wyraz, którego nie umiał odczytać. – Hej, co ci jest? Dobrze się czujesz?

– Tak. Po prostu jestem zagubiona. Wczoraj rozstanie z Issą, dziś informacja o Interpolu.

Położył ręce na jej ramionach. Próbowwała się odsunąć.

– Nie tłum emocji. Jeśli jesteś zła, możesz na mnie nakrzyczeć. A jak jesteś smutna, możesz popłakać. Chciałbym... – Zamilkł, szukając właściwych słów.

– Co? Żebym się nie zamykała? Żebym powiedziała, co myślę? W porządku. Więc byłabym wdzięczna, gdybyś traktował mnie poważnie, jak kogoś równego sobie. A ty jesteś tym wspaniałym lekarzem, któremu nikt nie śmie się sprzeciwić, bo tyle dobrego robi dla świata. – Strząsnęła jego ręce z ramion.

– To źle, że staram się pomagać?

Poderwała się na nogi.

– Święty Rowan. Pomaga, pociesza, ratuje. A tym *samym* stwarza barierę między sobą a innymi.

– O co ci, do diabła, chodzi? – Wstał i obserwował jak Mari krąży po pokoju.

– No, śmiało, wścieknij się. – Krzyżując ręce na piersi, zatrzymała się przed nim. – Przynajmniej wtedy pogadamy jak równy z równym. Chociaż nie, jaki równy? Przecież ty jesteś sympatycznym doktorem i tajnym agentem, a ja niepozornym geniuszem, który całymi dniami tkwi w laboratorium.

– Czy musimy wracać na wojenną ścieżkę? – spytał Rowan. Zaboląły go jej słowa; przecież starał się ją wspierać. – Myślałem, że mamy to za sobą.

– Nie o tym mówię i dobrze to wiesz. Jesteś inteligentnym człowiekiem.

– Ale nie geniuszem. Może wyjaśnisz, o co chodzi.

– Chcesz, żebym wyrażała emocje, otworzyła się. – Dźgała go palcem w

pierś. – A ty? Kiedy ty się otworzysz? Kiedy zobaczę prawdziwego Rowana? Wiem o twoim wielkim sercu i działalności dobroczynnej, ale człowiek nie składa się z samych zalet.

– Opowiedziałem ci o mojej przeszłości.

– Fakt – przyznała – trochę opowiedziałeś. Ale czy kiedykolwiek tak naprawdę otworzyłeś się przede mną? Czy dopuściłeś mnie do siebie? Nie. Na przykład po rozstaniu z Issą... masz prawo cierpieć, odczuwać ból.

– Issa jest w dobrych rękach – oznajmił przez zęby.

– No widzisz? Właśnie o to mi chodzi. Chcesz, żebym płakała, nie tłumila emocji, a ty... – Rozłożyła ręce. – Ty nie musisz. Tobie nic nie jest. Czy chociaż pozwoliłeś sobie na rozpacz po śmierci brata?

Wciągnął gwałtownie powietrze, zupełnie jakby wymierzyła mu cios.

– Przestań. Śmierć Dylana nie ma nic wspólnego z tym, o czym teraz rozmawiamy.

– Ma bardzo wiele wspólnego. Ale jeśli się mylę, to powiedz mi, proszę. Powiedz, co czujesz.

Czekała, a on szukał właściwych słów. Najwyraźniej szukał ich zbyt długo, bo Mari potrząsnęła smutno głową.

– Tak myślałam. Wracam do siebie. Nie ma powodu, żebyśmy dłużej mieszkali w jednym apartamencie.

Odwróciwszy się, wybiegła z salonu. Rowan usłyszał, jak rzuca walizkę na łóżko. Słyszał stłumiony szloch. Słyszał kliknięcie zamka. Wszystko zepsuł, a mówiąc dosadniej: spieprzył. Wielu rzeczy nie wiedział, wielu nie rozumiał, ale jedno nie ulegało wątpliwości: w życiu Mari nie było dla niego miejsca.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Konferencja dobiegła końca. Tydzień z Rowanem również się skończył.

Mari stała przed lustrem, wpinając ostatnią spinkę w upięte włosy. Nie miała ochoty iść na pożegnalny bal, ale podejrzewała, że jej nieobecność wywołałaby falę domysłów i plotek, których wolała uniknąć.

Już i tak było głośno o całej sprawie. Na szczęście z informacji w prasie, a także od kumpli Rowana z Interpolu, wynikało, że Issa ładnie się adaptuje w nowym domu. Dzięki Bogu.

Mari westchnęła. Co jak co, ale musi wytrwać do końca z wysoko uniesioną głową. Po ich ostatniej kłótni czekała w napięciu, licząc na to, że Rowan będzie o nią walczył, tak jak walczył o zdrowie każdego pacjenta. Ale nawet nie próbował z nią porozmawiać, odkąd opuściła jego apartament i wróciła do swojego, znacznie skromniejszego, piętro niżej. To ją najbardziej zabolalo: że pozwolił jej odejść.

Zabolalo, ale i sprawiło, że podjęła decyzję. Zmieni się. Nie będzie taka jak on. Przestanie się ukrywać, żyć w cieniu ze strachu, że kogoś rozczaruje.

Ubrana w długą czerwoną suknię bez rękawów o opiętej górze i lekko rozkloszowanym dole pogładziła dłońmi mieniący się materiał. Nigdy w życiu nie miała na sobie czegoś tak pięknego. Przemknęło jej przez myśl, że pewnie tak wyglądał Kopciuszek przed wyjściem na bal. Ale nie czuła się jak Kopciuszek; czuła się jak kobieta świadoma własnej urody.

Na toaletce leżał połyskujący w blasku lampy wysadzany brylantami diadem. Ostrożnie włożyła go na głowę i skierowała się do drzwi. Korytarz był pusty. Nie musiała się przed nikim chować.

Wcisnąwszy przycisk, czekała na windę. Denerwowała się,

wyobrażając sobie tłum w sali balowej. Bardziej bała się tego niż spotkania z Rowanem. A najbardziej, że w butach na wysokich obcasach potknie się na schodach. Dlatego włożyła jedwabne balerinki. Była dziś odważna, ale i praktyczna.

Drzwi windy rozsunęły się. Na widok mężczyzny w kabinie Mari znieruchomiała.

– Tata?

Obok księcia stała jego była żona w długiej zielonej sukni.

– Na dół, kochanie?

Mari wsiadła do windy oszołomiona.

– Mamo, co tu robicie? W dodatku razem.

Kabinę wypełniał znajomy zapach perfum. Mari patrzyła to na ojca, to na matkę. Już nawet nie pamiętała, kiedy ostatni raz widziała Adeena i Susan. Mandarów stojących obok siebie. Matka przytuliła ją, ojciec pocałował w czoło.

– Wesołych świąt, moja księżniczko.

Mari ścisnęła ojca za ręce, te same, które w dzieciństwie podrzucały ją do góry, a potem łapały.

Dziś Adeen miał na sobie elegancki smoking, a na to narzucił czerwoną szatę plemienną ze złotym wzorem. Jako dziecko Mari uwielbiała buszować w szafie ojca i przebierać się w jego barwne stroje.

Susan chłodną dłonią pogładziła córkę po twarzy.

– Razem, bo choć się rozwiedliśmy, to jesteśmy twoimi rodzicami. A przyjechaliśmy cię wesprzeć, bo uwaga mediów bywa trudna do zniesienia.

Sądziłeś, że sobie nie poradzi?

– Wasze wsparcie bardziej by mi się przydało dawniej, jak byłam młodsza.

– Wiemy, kochanie. Z wiekiem staliśmy się mądrzejsi.

Ojciec pokiwał głową.

– Wyglądasz wspaniale. Jesteś najlepszą córką, jaką mogłem sobie wymarzyć.

– Mówisz tak tylko dlatego, że się odpicowałam – zażartowała Mari. – Ale zapewniam cię, że wciąż nie cierpię przecinania wstęg i oficjalnych kolacji.

– I wciąż troszczysz się o ludzi, – Winda zatrzymała się na parterze. – Moje panie...

Wyszli pod rękę, Mari z prawej, Susan z lewej, księżę pośrodku. Hol był znacznie bardziej przystrojony niż kilka godzin temu. Z sali balowej dobiegały kolędy: zespół muzyków grał na fletach, harfach i bębnach.

Dźwięki świąt. Dźwięki domu. Mari przypomniały się stoły uginające się od pyszności. Po chwili zatrzymała się w wejściu do ogromnej sali. Wszystkie oczy skierowały się w jej stronę. Błysnęły flesze. Stała bez ruchu, jak skamieniała. Powiodła wkoło wzrokiem: wytwornie ubrani przedstawiciele świata medycyny stali obok miejscowych notabli.

Nagle spostrzegła Rowana w smokingu. Jego widok dosłownie zapierał dech. Zaczesane do tyłu włosy opadały mu na kołnierz, niebieskie oczy płonęły ogniem. Spodziewała się, że ją zignoruje, ale o dziwo ruszył w jej kierunku. Wszystkie pary oczu obserwowały go uważnie.

Stanął pół metra od niej i skinął głową księciu.

– Wasza Wysokość, chciałbym zatańczyć z Mari. Jesteśmy to winni mediom.

Winni mediom? A czy sobie nic nie są winni? Jak on może tak stać i patrzeć na nią, jakby nic się między nimi nie wydarzyło? Przez krótką chwilę miała nieprzepartą ochotę, by go kopnąć. Powstrzymała się. Nie chciała psuć

wieczoru. Postąpiwszy krok do przodu, położyła rękę na jego ramieniu. Rowan dał znak muzykom. Przy ich akompaniamencie solista zaintonował „Ave Maria”.

Wybór utworu sprawił, że w Mari wstąpiła nadzieja. Przeszli na środek parkietu. Inni rozstąpili się na bok.

– Wybrałeś piękny utwór – powiedziała, kołysząc się w ramionach Rowana.

– Bo pasuje do sytuacji. – Przyglądał się jej z grymasem na twarzy

– Co? Nie podoba ci się moja suknia?

– Podoba. Ale bardziej podoba mi się kobieta, którą suknia okrywa – odrzekł.

– To dlaczego tak się krzywisz?

– Bo chcę, żeby ta farsa się wreszcie skończyła.

– Aha – szepnęła Mari, czując, że robi jej się gorąco.

– Wierzysz? Że mi się podoba...? – Poruszali się płynnie. Ich ciała rozumiały się zarówno na parkiecie, jak i w sypialni.

– Tak, bo nawet kredy się kłóciliśmy, nigdy mnie nie okłamywałeś.

– Więc dlaczego uciekłeś? Dlaczego śpisz na innym piętrze?

– Naszym problemem nie jest seks.

– A co? Przypomnij mi.

– To, że się zamykasz przede mną. Długo trwało, zanim zrozumiałam, że zasługuję na szczęście. Ty też.

– Więc nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Muzyka ucichła. Odprowadził Mari do jej rodziców.

– Z całym szacunkiem, ale proszę się nią lepiej opiekować.

Susan Mandara z trudem stłumiła śmiech. Adeen Mandara uniósł pytająco brwi.

– Słucham?

– Mari powinna mieć znacznie lepszą ochronę.

Skinąwszy głową, Rowan odwrócił się i wtopił w tłum.

Pięć godzin później, tuląc do piersi poduszkę, Mari patrzyła, jak w pokoju oświetlonym jedynie blaskiem księżycy jej matka kładzie się do sąsiedniego łóżka.

– Mamo, czy naprawdę nie stać nas na to, żebyś miała własny pokój?

Susan przewróciła się na bok, twarzą do córki.

– Wiesz, kochanie, byłam pewna, że dzielisz apartament z doktorem Boothe'em i że twój pokój będę miała do swojej wyłącznej dyspozycji.

Wiatr znad oceanu poruszył zasłonami w oknie. Z plaży docierały odgłosy muzyki.

– Rowan i ja nie jesteśmy razem – odparła Mari, wracając myślą do ich wspólnego tańca. – To... to był przelotny romans.

Nieprawda. To były najcudowniejsze dni, jakie w życiu przeżyła.

– Kochanie, ty nie należysz do kobiet, które miewają romanse – przypomniała jej matka. – Dlaczego zerwaliście?

Łzy napłynęły Mari pod powieki.

– Nie, mamo, nie chcę o tym rozmawiać. – Obróciła się na wznak i zamknęła oczy.

Po drugiej stronie pokoju matka usiadła na łóżku.

– Kiedy byłam w twoim wieku, popełniłam największy błąd w swoim życiu.

– Wiem, poślubiłaś tatę – powiedziała Mari. Może była genetycznie predysponowana do nieudanych związków? Każde z jej rodziców dwukrotnie się rozwodziło.

– Kochałam twojego tatę. To, że za niego wyszłam, nie było błędem. –

Susan przyciągnęła kolana do piersi i ciągnęła: – Błędem była wiara w to, że go zmienię. On myślał podobnie: że mnie zmieni. Na początku Adeenowi podobało się, że jestem takim wolnym duchem, a mnie imponowało jego silne przywiązanie do ojczyzny. Z czasem jednak to zaczęło nam przeszkadzać.

Mari słuchała z uwagą. Co matka usiłuje jej powiedzieć? Że człowiek się nie zmienia?

– Mamo, musisz mówić jaśniej.

– Twój ojciec i ja nie byliśmy zbyt dobraną parą. Nie byliśmy też szczególnie dobrymi rodzicami, ale... Ale mamy fantastyczną córkę.

W głosie matki pobrzmiwała nieskrywana duma. Może więc, pomyślała Mari, nie była dla rodziców rozczarowaniem?

– Wiele nas jednak z Adeenem łączyło i może gdybyśmy skupili się na tym, nasze małżeństwo by przetrwało.

Korciło Mari, by opowiedzieć matce o kłótni z Rowanem. Że chce, aby się przed nią otworzył. Z kolei on oskarżył ją, że to ona dusi w sobie emocje. Miała straszny mętlik w głowie, ale wreszcie nie wytrzymała:

– Czy wiesz, jak trudno jest kochać ideał? Chodzące dobro? Świętego?

Matka wyciągnęła rękę do córki. Splotły dłonie.

– Więc kochasz go?

– Oczywiście. Tylko nie wiem, jak do niego dotrzeć.

– Byliście razem... Jak długo? Tydzień? Szybko się, kochanie, poddajesz.

Mari obruszyła się.

– Znamy się z Rowanem od lat. A to był bardzo intensywny tydzień.

– Mimo to rezygnujesz? Miałam nadzieję, że okażesz się mądrzejsza niż ja. – Matka ścisnęła jej rękę, po czym ją puściła. – Przemyśl to jeszcze. Dobranoc, skarbie.

Przez pół nocy Mari patrzyła przez okno na wodę połyskującą w blasku przystrojonych świątecznie drzew palmowych. Fale zalewające brzeg przypominały jej o niedawnej wyprawie jachtem. Rowan tak bardzo się starał, tak bardzo próbował podnieść ją na duchu, nie tylko słowami, ale czynami.

A ona co dla niego zrobiła? Nic.

Zamiast zaakceptować go takim, jakim jest, stawiała żądania, Rowan zaś w pełni ją akceptował. Nawet gdy się nie zgadzali, szanował jej opinię.

Psiakość! Dlaczego postępowała tak głupio? Nic dziwnego, że ogrodził się murem. Wszyscy go zawiedli: rodzice, brat. Myśleli wyłącznie o sobie. Owszem, zaprzyjaźnił się z kolegami w szkole, ale – jak sam twierdził – czuł, że od nich odstaje.

A teraz ona go zawiodła; chciała czegoś, czego nie był w stanie jej dać. Chciała tego ze strachu, bo była zakompleksiona, bo nie wierzyła w siebie.

Ale to się zmieniło, nabrała pewności, odwagi. I zrozumiała, co powinna zrobić: walczyć o ukochanego mężczyznę.

Powrót do kliniki zawsze go cieszył. Odkąd przeniósł się do Afryki, tu, w tym budynku, ubrany w fartuch lekarski, spędzał wszystkie święta. Brał dyżur i troszczył się o pacjentów, wychodząc z założenia, że święta są dla ludzi obdarzonych rodziną.

Jednakże w tym roku, mimo choinek z migającymi lampkami, atmosfera wydawała mu się wyjątkowo mało świąteczna. Wręczył pacjentom prezenty, które kupił z Mari, i pogrążył się w pracy.

Przytrzymując ramieniem telefon, wysłuchał sprawozdania Elliota o tym, jak się miewa Issa, a potem relacji z jego pobytu w Australii. Słuchając, jednocześnie sprawdzał dane w komputerze: rano ma być wypisana do domu kobieta ze swoim nowo narodzonym dzieckiem.

W jednym skrzydle budynku znajdował się liczący trzydzieści łóżek

oddział szpitalny, w drugim mieściła się nieduża, lecz doskonale wyposażona przychodnia. Na miejscu personel medyczny składał złamane kończyny, przyjmował porody, prowadził walkę z AIDS. Najgorsze, kiedy zjawiała się ciężarna zarażona wirusem HIV. Oczywiście nie każdemu można było pomóc, ale Rowan robił, co mógł.

Przy dyżurce dwie pielęgniarki rozmawiały z lekarzem, poza tym panowała cisza.

– Elliot, jak masz coś ważnego, to mów. A jak nie, to muszę kończyć; czeka mnie świąteczna kolacja.

Świąteczna kolacja... to było danie z mikrofalówki. Ale nie był szczególnie głodny. We dnie i w nocy wciąż widział przed oczami Mari w czerwonej sukni, dumną, pewną siebie. Cieszył się, że potrafiła stawić czoło zebranym w sali ludziom, nie bać się spojrzeń, błysków fleszy. Szkoda, że nie może być u jej boku.

– Oj, stary, myślałem, że jesteś mądrzejszy ode mnie

– oznajmił żartobliwym tonem Elliot z dalekiej Australii. W tle pijani kolędnicy śpiewali „Dwanaście dni świąt”.

– Mądrzejszy? Jeśli mnie pamięć nie myli, w szkole dostawaliśmy podobne oceny.

– Owszem, ale od tego czasu ja cztery razy miałem wstrząs mózgu, że nie wspomnę o byciu żywą pochodnią.

Rowan uśmiechnął się pod nosem.

– W porządku. Do czego zmierzasz?

– Dlaczego, do cholery, pozwoliłeś jej odejść? – Żartobliwy ton znikł. – Szalejesz na jej punkcie, ona szaleje na twoim. A chemia między wami...

– Mari uznała, że mnie nie chce – odparł Rowan.

– Powiedziała ci to?

- Jasno i wyraźnie – mruknął. Nie chciał rozpamiętywać tamtej chwili.
- Może coś źle zrozu...
- Nic źle nie zrozumiałem – przerwał mu Rowan, zamykając komputer.
- Dobra, będziesz się nad sobą użalał jak jakiś kretyn czy wyjdiesz do

bramy i przywitasz się z Mari?

Do bramy?

– O czym ty gadasz? Jesteś w Australii. – Rowan poderwał się od biurka i na wszelki wypadek podszedł do okna.

– Owszem, ale zleciłeś mi jej ochronę... Zresztą mniejsza o to. Jeśli moje połączenie satelitarne nie szwankuje, to samochód Mari... O, podjeżdża.

Faktycznie, w stronę kliniki zbliżał się samochód. Czy w środku naprawdę siedzi Mari? Nagle Rowan pojął, dlaczego przyjaciel tak długo trzyma go na linii. Po prostu czeka.

– Stary, i pamiętaj o jednym. Pierwszy powiedz te dwa magiczne słowa „kocham cię”. Wesołych świąt.

Czy kochał? To nie ulega wątpliwości. Kochał. Pragnął. Podziwiał. Pożądał. Dlaczego jej tego wcześniej nie powiedział? Dzięki Bogu za przyjaciół, którzy potrafili dać mu kopniaka, gdy tego potrzebował. I dzięki Bogu za Mari, która postanowiła dać mu jeszcze jedną szansę.

Rozłączywszy się, Rowan wybiegł na korytarz. Przytrzymując ręką pager, by nie wypadł z fartucha, rzucił się pędem w stronę drzwi.

Jasny SUV stał obok karetki pod rozłożystym masłoszem. Po chwili ze środka wysiadła Mari w luźnych jedwabnych spodniach i tunice.

– Przyjechałaś... – Poczł ucisk w sercu.

– Oczywiście. Przecież są święta. – Ruszyła w jego kierunku. Bransoletki, które jej podarował, brzęczały. – A święta powinno się spędzać z osobą, która...

Przycisnął palec do jej ust.

– Poczekaj. Pierwszy muszę ci coś powiedzieć. Kocham cię, Mariamo. Kocham i pragnę od niepamiętnych czasów. I przysięgam, że zrobię wszystko, aby zasłużyć na twoją miłość.

– Och, Rowan. Ja też cię kocham. Takim, jakim jesteś. Niczego więcej nie pragnę.

Poczuł niewysłowioną ulgę. Nie mogąc się powstrzymać, zgarnął Marię w ramiona i pocałował ją namiętnie. Pocałunkiem starał się wyrazić wszystko, czego wcześniej nie potrafił.

– Kocham cię, kocham – powtarzał raz po raz.

– Wiem. Wiem też, że jesteśmy stworzeni dla siebie – szepnęła.

– Dlaczego przez tyle lat się spieraliśmy?

– Bo uwielbiamy wyzwania – odparła ze śmiechem.

– Przysięgam, że ze mną ci ich nie zbraknie.

– Och, Mari, oczarowałaś mnie od początku.

Wsunęła palce w jego włosy.

– Wiesz, za co cię najbardziej kocham?

– Powiedz. – Objął ją w pasie.

– Że nawet jak mam na sobie pomięte łachy, dostrzegam w twoich oczach zachwyt.

– Największy jest wtedy, kiedy cię widzę nagą. – Przytulił ją mocno, szczęśliwy, że ma w objęciach tę wspaniałą kobietę.

– W takim razie chodźmy gdzieś, żebyś mógł mnie rozpakować.